Leo Hirsch
LAMPION

Rozdział I

Do czerwonego przedziału podziemnej kolejki wsiada kontroler, barczysty, lekko przysadzisty człowiek, z ostro kłującymi oczkami. Kontroler to cała chodząca akuratność, Ostre kanty, brakujące w spodniach, uciekły na jego twarz i sterczą wyniosłe w swojej surowości.

Ledwo zasunął za sobą drzwi, a już dwadzieścia dłoni grzebie nerwowo w bocznych kieszonkach i torebeczkach. Ale kontroler uważa się za małego Napoleona i wystarcza mu delektowanie się świadomością swojej władzy, nie czyniąc z niej użytku. Ogarnia wzrokiem swoje pole boju nie ruszając się spod drzwi i ułaskawia od sprawdzania biletów, a tym sposobem ukaranie jest podwójnie surowe.

Wśród pasażerów wkroczenie władzy porządkowej zaczyna odnosić skutek. Wyglądająca na głodną życia i miłości dziewczyna Manila wycofuje się pospiesznie do przedziału trzeciej klasy, nerwowość pozostałych pasażerów

urasta do rozmiarów epidemicznych, a spłoszone rozmowy utykają w miejscu, aby plusnąwszy wsiąknąć. Zadowolony uśmieszek poszerzyłby w tym momencie usta kontrolera, gdyby temu nie przeszkadzały kanty. Wreszcie upływają dwie minuty, a następna stacja rzuca światło swojej hali przyjazdowej do przedziału, konduktor zgrabnie zeskakuje ze stopnia. Szczupła, ubrana na czarno dama stojąca z prawej strony w rogu czuje, że jej dzisiejszy interes nie wypali.

Być może także kontroler czuje do jakiego stopnia po wszystkich triumfach nastrój jest zwietrzały i pusty. Trochę speszona Manila dochodzi do wniosku, że nieszczęście zawsze mija ją koło nosa.

W sąsiednim przedziale trzeciej klasy tłoczy się wiele ludzi. Tłok jest tak znaczny, że Manila obawia się oddychać, tak jakby wyziewy ludzkich oddechów mogły ją otruć. Jej cera robi się zielona. Młody człowiek oferuje jej z ckliwym współczuciem swoje miejsce. Jednak gdy siada, przyciska się do jej ciała, aż zabiera jej oddech. Niczym jakiejś niebezpiecznej operacji poddaje się czynności wstawania wysiadając na następnym przystanku.

Na górze Manila siada na ławce miedzy mizernymi kwiatami. Słup ogłoszeniowy przygląda się jej portretem i listem gończym rabusia milionów Fritza Wetza. Zmęczona dostrzega go. Podchodzi mężczyzna i czyta pozornie bez uwagi list gończy. Przy niewielkim obrocie głowy Manila rozpoznaje go po profilu, ewidentna jest zbieżność z portretem na słupie. Wie, że jest złodziejem, jednak nie ma uczucia, że powinna teraz wstać i kogoś zawołać albo że powinna iść dalej.

Pozornie spokojnie przechodzą przed Manilą tam i z powrotem dwaj panowie, którzy noszą swoje kapelusze tak niezgrabnie jak potrafią to robić tylko funkcjonariusze policji kryminalnej. Wtedy Wetz pozdrawia ją w miły sposób, podchodzi do Manili i udaje tak pewnie, jak gdyby znał ją od dłuższego czasu: „Jak się pani miewa, najłaskawsza?’ i siada obok niej, całuje w rączki i opowiada, nie dając jej dojść do słowa, ze jego żona czuje się niestety niezbyt

dobrze dysponowana, aby zjeść kolację z panem K., prezydentem policji. Cieszy się, że może ją tutaj spotkać, tak jak się umawiali i prosi o wybaczenie, ze przedtem oglądał portret na słupie ogłoszeniowym, jednak ogólnie uważa się, że jego podobieństwo do Wetza jest niewątpliwe, musiał się o tym obligatoryjnie przekonać, ale teraz koniecznie powinna mu dotrzymać towarzystwa. Nic nie jest straszniejsze niż prowadzenie fachowych dyskusji bez towarzystwa kobiet, a oprócz tego auto prezydenta czeka w pogotowiu.

Tym sposobem podał jej ramię i zaprowadził ją do prywatnego auta bez kierowcy, którego kierowca gasił swoje pragnienie w hali piwnej na rogu. Manila wsiadła, Wetz zakręcił korbą, a gdy wóz zniknął za rogiem, policjanci stwierdzili, że nie pamiętają nawet numeru rejestracyjnego samochodu. Ze ściśniętym sercem, czując, że umyka im najlepszy połów i że na pewno nie był gościem prezydenta policji, zaproszonym na kolację, poszli swoimi drogami.

Auto ślizgało się na amortyzatorach podskakując po ulicach. Wetz kierował pewnie i brał zakręty w sposób matematycznie ostry i elegancki. Już wkrótce klakson mógł mniej się odzywać, drzewa rwały po bokach w dal, łąki rozpływały się, lasy pochłaniały wóz w swoich piaszczystych otchłaniach, wydane na łup chłodów i wiatrów, Najpierw Manila stała się nadwrażliwa, do tego stopnia, ze nie mogła mówić z nadmiaru myśli, refleksji i uczuć. Potem jednak cały ten rozdarty dzień zaparł się o jej piersi, aż zapadła w głuchy sen.

Dopiero po godzinach jazdy obudziła się pod wpływem wstrząsu, auto zatrzymało się. Dwóch uzbrojonych po uszy żołnierzy zapytało Wetza w syczącym, obcym języku, a potem w łamanej niemczyźnie, co ma do oclenia. Gestem *bon vivanta* Wetz odpowiedział: „Nic oprócz tej kobiety”. Żołnierze zauważyli protekcjonalnie, że stawka celna za taki towar jest bardzo wysoka, lecz Wetz powiedział, że nie zależy mu na tym i dał każdemu z nich swój cenny uścisk dłoni. Potem wskazano mu mądre objazdy, nie pytając go dalej o papiery. Podróż była kontynuowana.

Auto obijało się po źle wybrukowanych i zaniedbanych szosach, Wetz musiał precyzyjnie co do włosa uważać na głębokie dziury, pradawne drzewa rwały po bokach, łąki rozpływały się, żółciły się bagna, wsie miały swoje siedliska na poboczach. Manila obserwowała swojego kierowcę wypoczęta. Wetz był wysoki, szczupły, o ciemnych oczach, jasny blondyn i ponad ostro zgiętym nosem nosił oprawione w czarne ramki binokle. Uważała go za interesującego, nie wzruszając się przy tym i ani on ani ona nie odzywali się słowem. Być może nienawidzili się, ale nie docierało to do ich świadomości.

Dotarli już w głąb polskiej niziny, gdy minęli pierwsze miasto średniej wielkości. Wetz zatrzymał się przed bogato wyglądającą restauracją z hotelem. Dobrze zjedli i wypili wino, Wetz zapłacił za pokój dla Manili, a ponieważ dobrze mówił po francusku, nie robiono mu w żaden sposób trudności. Na zewnątrz podziękował Manili, „Jestem Franz Wetz, uratowała mi pani życie." Dał jej kilka setek marek, pocałował ją tkliwie w rączkę. Wetz zatrąbił, zawrócił i pojechał dalej. Manila poszła zamyślona do swojego pokoju.

Nie mogła zasnąć. Co powiedziałaby jej mama, co powiedziałby szef w berlińskim biurze? Niemniej miała uczucie, że nie powinna wracać do domu. Być może to uprowadzenie było najlepszą szansą jej życia. Męczyła się usiłując pojąć właściwy obraz swojego położenia. Oto była w Polsce nie znając ani słowa po polsku. Nie znała żywej duszy w tym mieście, ale miała pieniądze, aby przeżyć swobodnie pierwsze cztery tygodnie. Nie szkodziło spróbować.

Przed południem chodziła spacerkiem po ulicach, miejscowość nazywała się Ostrów, była brzydka, brudna, bez własnego oblicza i rozległa. Często zagadywano Manilę, a ona żałowała, że nie mogła odpowiedzieć, gdyż mężczyźni wydawali się byli traktować ją po dżentelmeńsku. W mieście jedynym ładnym terenem był park położony pomiędzy pradawnymi, porośniętymi ciemnym drzewostanem, cmentarzami. Śpiewało wiele ptaków, akacje pachniały, na wszystkich ławkach siedzieli ludzie, starzy ludzie i dzieci ze swoimi matkami lub służącymi. Manila usiadła w końcu obok około

osiemnastoletniego młodzieńca na pierwszy rzut oka nie wyglądającego na Żyda.

Manila siedziała i delektowała się powietrzem, zabawami dzieci, zielenią, ptakami. Spoglądała niekiedy na chłopca z naprzeciwka, mającego pełną, acz niezbyt piękną twarz. I nagle odkryła, że czytał niemiecką książkę. Po tym jak udała się w totalne głębiny obcych żywiołów, znalazła tutaj koło ratunkowe. Walczyła ze sobą, lecz w końcu ponad ryzykiem przygody zwyciężyła tęsknota za złapaniem ratunkowego koła.

Gdy nawiązali rozmowę, chłopiec zaczął się coraz bojaźliwiej rozglądać i wkrótce wstał z ławki, powiedział, że trzeba się mieć na baczności, bo wszędzie czają się szpiedzy. Później dowiedziała się, że Ostrów jeszcze przed dwoma laty był niemiecki, i dopiero po przegranej wojnie przeszedł znów w polskie ręce.. Lecz już te dwa lata polskiej władzy wystarczyły, żeby „wykurzyć" stąd wszystkich Niemców. Niemniej szczególnie ucierpieli niemieccy Żydzi. Także i on uznał ją za Żydówkę, a ona nawet nie sprostowała jego opinii. Była zbyt nieśmiała, aby mówić o sobie, powiedziała tylko, że jest pierwszy dzień w tej miejscowości, a on nie spytał, dlaczego i w jakim celu przyjechała. Nie była specjalnie podekscytowana jego słowami, jego ton był chłopięco-fantastyczny. Niemniej myślała o chłopcu i gdy zobaczyła go następnego dnia na ulicy, pod wpływem nagłej zmiany nastroju poszła za nim. Zmieniła trochę pieniędzy i zaczęła nawet dawać sobie radę z językiem, nie brano nieznajomości języka za złe, ponieważ była młodą damą. Na dworcu chłopiec kupił dla siebie bilet do Skalmierzyc. Ona zrobiła podobnie i wsiadła do tego samego zatłoczonego przedziału. Dopiero wtedy zauważył ją i formalnie się sobie przedstawili,: nazywał się Lampion. Potem nic już nie mówił, prawdopodobnie wstydził się lub czuł zbyt skrępowany źle woniejącą ludzką masą w przedziale.

Wkrótce wydarzył się incydent, którego nie mogła później zapomnieć. Podążyła za wydarzeniami jak za karmieniem węża w zoo, a nawet gdy nie była w stanie zrozumieć języka, gesty były ewidentne. Mianowicie w wagonie na

ławce siedziało dwóch starszych polskich Żydów w chałatach i z pejsami, z długimi siwymi brodami i typowymi małymi czarnymi jarmułkami. Gruby polski żołnierz, który wracał z frontu wojny bolszewickiej i był w bardzo dobrym nastroju lub był podchmielony, ryknął podirytowany, gdy nagle zmuszony był stwierdzić, że jako obrońca ojczyzny nie miał miejsca siedzącego: „No Żydzie, masz tu ładne miejsce do siedzenia." Inni zwrócili na to uwagę, a stary odpowiedział, że siedzi już na tym miejscu sześć godzin i że zamierza dojechać aż do Warszawy. Ale, jeśli pan żołnierz chciałby okazać zaszczyt odstąpienia mu jego własnego miejsca, to gotów jest wstać z największą przyjemnością. Pan żołnierz podziękował nad wyraz grzecznie i ironicznie, nie, pan Żyd nie powinien się obawiać, nie będzie przecież zmuszał żadnych starszych ludzi do wstawania, a w ogóle pan Żyd ma tak ładną, siwą brodę, byłaby to zaiste wspaniała, siwa broda, ale czy po tej siwej brodzie przypadkowo nie biega wesz?" I pan żołnierz zamierzył się i uderzył starego pełną pięścią w policzek. Współpasażerowie ryczeli ze śmiechu. Żyd zadrżał. „No i tak, głupią wesz chyba zabiłem, no stary dziadku, co ładnego mi na to powiesz?" Żyd wymruczał jakieś słowa, wtem żołnierz odpowiedział na to „Dostaniesz już niedługo!' i wśród ogólnego śmiechu Żyd wydukał „Dziękuję, panie żołnierzu".

Lampion krzywiąc się spuścił wzrok na ziemię, Manila spoglądała w zakłopotaniu raz po raz, raz na Lampiona, raz na dziwna scenę.

„Tak, dziadku, teraz najlepszym wyjściem będzie chyba zgolenie ci całej brody, wtedy nie będziesz już miał żadnych wszy, nieprawda? I wydając trawienne odgłosy, przy głośnych oklaskach pan żołnierz wyciągnął swoją boczną broń z kabury, wyrwał staremu brodę wraz z krwawiącymi strzępkami skóry, długą pielęgnowaną brodę, będącą dumą każdego żydowskiego mężczyzny. Inny żołnierz uczynił to samo drugiemu Żydowi. Jakiś podpity człowiek krzyczał z entuzjazmem: „To polski sport narodowy!" Starzy ludzie łkali i stękali, a inni pasażerowie zawyli hymn narodowy. Lampion stał drżąc w

tłumie śpiewających. Nie mógł interweniować. Był zbyt słaby i jeden przeciwko wielu innym. Musiał być zadowolony, że sam nie stał się ofiarą tego narodu. Manila dostrzegła, jak okrutnie męczono tych ludzi i jak Lampion odsunął się, gdyż sam nie mógł zdziałać zupełnie niczego, podczas gdy wszystkie włókna jego ciała paliły się w nim z konieczności i woli działania, a ona dostrzegła to i w głębi swojej duszy została jego przyjacielem.

Potem przez całe dni nie widywała Lampiona. Chodziła często do parku, wędrowała ulicami, ale się nie pokazywał. Wstydził się swojego braku męskości.

Pewnego razu, gdy spacerowała wzdłuż jednej uliczki, zobaczyła go przez bramę od domu na podwórku niszczejącego zabudowania.

Siedział na wielkim kamieniu w słońcu i czytał. Podeszła do niego, zabrała mu nie mówiąc słowa książkę i zaprowadziła na spacer. Szli przez lasy, bażanciarnie i zagajniki, rozmawiali ze sobą jak dobrzy przyjaciele nie wspominając incydentu z pociągu.

„Jeszcze nigdy nie byłem w dużym mieście", powiedział Lampion.

Jestem z Berlina, powiedziała Manila, a on z tego powodu ją ubóstwiał. Przez całe lata mogła dzień za dniem jeździć podziemną kolejką, tramwajem, oglądać wysokie budynki, słuchać muzyki, przeżywać przedstawienia teatralne, ile więcej wiedziała od niego.

„Ale przecież jest pan jeszcze młody."

Ale nieraz dopadał go nagły strach, ze będzie musiał umrzeć, zanim uda mu się zobaczyć świat.

„Jeszcze nigdy nie byłem w teatrze", powiedział Lampion a Manila opowiadała o sekretach garderoby wielkich gwiazd i o tym, z jakim zapałem statystowała w teatrze. Lampion przysłuchiwał się nabożnie. Wiele setek teatrów wystawiało w Niemczech przedstawienia, a żadnego z nich nie widział. Wydano wiele tysięcy książek niemieckich, a niewiele z nich przeczytał. Na świecie mieszkało wiele milionów ludzi a on znał jedynie tę jedną kobietę.

Ludzi, z którymi zawsze był zmuszony rozmawiać, wstydliwie ignorował. Ogarnęła go przemożna tęsknota, oglądania i życia, tęsknota za górami i morzami, za dalekimi krajami, za rożnym rodzajami sztuki i wędrowaniem.

Gdyż zawsze pustoszyło go poczucie najbardziej jałowego osamotnienia. Mógłby oddać cały świat za to, żeby choć jeden człowiek go kochał. Jednak przed Manilą miał potajemna obawę. Znał ją dopiero tak krótko, była od niego starsza i z twarzy nieprzystępna, choć piękna, i dla Lampiona wyrósł wokół niej potajemny mur.

Gdy Lampion rozmawiał z Manilą, ich rozmowy dotyczyły zawsze obcych i ogólnych spraw, a razem ze sobą byli mili i radośni. Gdy jednak ich nastroje harmonizowały ze sobą, milczeli w zamyśleniu. Dzieląca ich ściana rosła coraz wyżej. Często nie mieli odwagi spoglądać na siebie. Ale Manila dawała się ponaglać i żyła tylko w ciemności świadomie z dnia na dzień. Jednak Lampion spędzał bezsenne noce w swojej izbie i był przepełniony tym, czego jej nie mógł powiedzieć. I tylko na jawie był zupełnie z nią…

Nie wiem, kim jesteś, ukochana, ale kocham ciebie z całego mojego serca. I nawet, jeśli nawet nie znam wszystkich strumieni twojej duszy, to jednak wszystkie strumyki mojego serca uchodzą do niej.

Nie wiem, kim jesteś, ukochana, ale kwiaty twoich spojrzeń zafascynowały mnie swym aromatem. A owoce tych słów opadają na dno mojej duszy, ich zielone ziarno wyrosło. A teraz kiełkuje pole mojej miłości, jednak po cichu i z głębokim spojrzeniem, tak jak pnącza bluszczu wiją się po grobach.

Nie wiem, kim jesteś, ukochana, ale kocham ciebie z całego mojego serca…

Jednak ona była melancholijna i powściągliwa tak jak on i nie mogli się wzajemnie odnaleźć.

Ale Lampion nie mógł przepuścić takiej sposobności. Wszystko w nim popychało go do Manili, wszystko go powstrzymywało.. Gdy wymagał od siebie zdania sobie sprawy z tego, dlaczego nie próbował jej zdobyć, to jego

próżność i ambicja zakrzykiwały go, że nie ma żadnego powodu, aby z niej rezygnować. Gdy jednak był u niej, zalewało go całe morze nieśmiałości i cieszył się bezgranicznie, jeśli w drobnych sprawach mógł jej służyć pomocą. Zaledwie wyszedł od niej, rugał się, że jest nikczemny i służalczy.

W końcu jego dusza znalazła wyjście z sytuacji. Wymyślił sobie wokół jej ciemnych oczu całkiem inną istotę. Miała ona feler, straszny garb, a jego uśpiona fantazja pragnęła umrzeć ze współczucia. Potem jednak, marzył, okazało się, że wcale nie potrzebowała jego współczucia, a nawet, że na nie nie zasługiwała. Mogła być, śniło mu się, szaloną diablicą. Małe garbate stworzenie mogło jeździć i kłusować na kudłatej szkapie po ulicach, aż pękał bruk. Ścigał ja batalion Kozaków, ale umiała dopuścić ich bardzo blisko do siebie, gwałtowanie zawrócić konia i zatrzymać się przed nimi w miejscu. Mogła podnieść swą małą rączkę, a wszyscy drżeli i zatrzymywali się. Następnie każdy z tych walecznych mężczyzn musiał czołgać się do niej na kolanach dając jej całą swoją męska siłę. Ten, kto zmuszony był to zrobić, ten nigdy więcej nie mógł zbliżyć się do kobiety. Czarowała ludzi,

Lampionowi śniło się, że nazywano ją Nidą Chair, Ale nie można było głośno wypowiadać jej imienia. Kto się na to odważył, natychmiast umierał. Mimo to mogła łkać jak dziecko. Niewypowiedzianie smutna mogła przyjść do niego, uboższa od najbiedniejszych ludzi. Nie miała nikogo na całej ziemi, kto czułby podobnie jak ona. Jednak nie mogła kochać, ponieważ martwiła go i nie mógł jej całować, ponieważ należała do tysięcy, nie, nie mógł jej nawet podarować duszy, ponieważ miała garb, straszny feler, który udusiłby mu jego serce,- śnił Lampion.

W rzeczywistości miłość Lampiona była niema a Manila chętnie tym się zadowalała. Doznawała miękkiego, przyjemnego uczucia, gdy był wokół niej i myślała o nim z wdzięcznością, gdy zostawała sama. Gdy go jakimś razem nie spotkała, mogła nawet posmutnieć i to było jej najgłębsze uczucie wobec niego. Nigdy nie zapominała, że był chłopcem.

Odwiedzał ją popołudniami w hotelu, wtedy rozmawiali ze sobą a on palił namiętnie jedno z jej cygar. I zdarzało się, że gdy usnęła na słońcu w błogim znużeniu i cieple, nie odwracał od niej oczu. Wtedy jej owalna, piękna twarz rozkwitała, krew wstępowała w jej wargi a sen tłumił jutrzenkę na jej policzkach.

„Pocałowałem Panią, gdy pani spała" powiedział, gdy obudziła się wzdychając. „To niemożliwe", powiedziała Manila, „wtedy na pewno bym się obudziła" i popatrzyła dziwnie na niego. „Nie, to nieprawda" wyznał :Lampion, czerwieniąc się, jeszcze nigdy czegoś takiego nie powiedział. Gdyby to tylko uczynił być może nie istniało by to wszystko, co wydawało się istnieć między nimi. Jakie błogie uczucie byłoby to. Jak tchórzliwa była jego imaginacja o tym, że miała garb/ Jaka wykrętna wymówka, ze musiał jej współczuć. Była tak wspaniale piękna.

Pod wachlarzami jego myślenia wydawało się, ze stopniowo zmienia się powietrze w pięknej komnacie. Bezgraniczne szczęście ogarnęło Lampiona. Wiedział nagle tak naprawdę, że teraz nadejdzie jego szczęście, ze aż jego oczy zaczęły błyszczeć. Manila zaczęła mówić.

Manila powiedziała, że od teraz kończy się okres jej opieszałości. Jej sąsiad z pokoju obok zabiera ją do swoich dóbr pod Warszawą. Będzie damą do towarzystwa hrabiny Załkowskiej, nauczy się konnej jazdy, nauczy się życia. I umówiła się z Lampionem na następny dzień do hotelu na pożegnanie.

Sprawa była teraz dla niego jasna i zdecydowana. Początkowo nawet w ogóle nie otworzył listu pożegnalnego Manili.

Manila nie miała garbu, była zupełnie zdrowa. Tylko że nie była człowiekiem. Była być może samicą orangutana. Nie chciał wymyślać, co miała wspólnego z polskim hrabią-sąsiadem z pokoju obok. Ale kto mógł mu dać gwarancję, że pozostali współobywatele nie przeszli jeszcze ewolucji od małpy do człowieka, o której niedawno czytał?

O tych współobywatelach nie miał dobrej opinii, już po pierwszych nieudanych próbach rozmowy z nimi, zaczął nimi pogardzać. Tylko starszego profesora, który był już na emeryturze, zaliczał do ludzi.

Był to nerwowy, ironiczny i sceptyczny starzec, który brzydził się dotykaniem klamek od drzwi, a drzwi zawsze otwierał łokciami a zamykał stopami. I na temat tego profesora, Manili i siebie samego Lampion ułożył sobie nową historię, która stała się dla niego, jak każda, najświętszą prawdą.

W przekonaniu, że nowe nazwisko radykalnie zmienia człowieka, Lampion nadał sobie przydomek „panek" i poprzysiągł sobie, że od teraz będzie chłopkiem z Krempy, głupim, prostodusznym, brutalnym i zwierzęcym. Pierwszy raz w swoim życiu miał na sobie przyzwoite ubranie, gdy duchowny zaprowadził go do pana profesora, który dał mu liberię. I zaraz pierwszego dnia, gdy panek był służącym pana profesora, wydarzyło się nieszczęście. Samiczka orangutana pana profesora ciężko zachorowała i panek musiał spędzić noc w pokoju zwierzęcia. Ponieważ choroba małpicy ciągnęła się długo, spal zawsze koło niej i zachował dla siebie to legowisko z przyzwyczajenia, także gdy zwierzę już wyzdrowiało.

Gdy panek po czterech tygodniach w niedzielę mógł po raz pierwszy wyjść z domu, służąca Marinka, z która zamierzał nawiązać czułe więzy, pociągnęła kilka razy w słyszalnie nosem, aby pankowi dać znać, jak nieprzyjemny jest dla niej jego zapach. Gdyż na jego ciele zagnieździł się fetor menażerii. W ogóle traktowała go obcesowo i chłodno, także i następnym razem zostawił ja na lodzie. Istniały niezliczone Marinki. Ponieważ jednak nie wiedział, jak ją zastąpić, od tego czasu przestał wychodzić.

Gdy Maria, bo tak nazywała się małpica, stała się raźniejsza, profesor prowadził z nią rozmowy, jak widocznie to zawsze czynił. Jednak nie odzywał się do niej w błazeński sposób, jak przeważnie się zabawia zwierzęta i dzieci chcąc być dziecięco czułym dla dziecka, jednak, gdy starszy pan w jakiejś kwestii nie orientował się, uzależniał swoja decyzję od Marii. I tak zdarzyło się,

że profesor, który był wielkim megalomanem w swoich tyradach przeciwko swojej płci dawał sobie potwierdzić przez Marię niejako swoje tezy, a nawet wytresował zwierzę w sprawach światopoglądowych do roli wyroczni,

Profesor miał zwyczaj chwytać Marii każdego poranka za przednią łapę i prowadzić przez pokoje do swojego biurka, na którym stało zdjęcie młodej damy. Widząc to Maria chwytała się za oko, jak gdyby chciała wytrzeć łzę. Wtedy profesor zawsze mówił; ty chyba jesteś sentymentalna? Na co Maria krzywiła pysk wydając dziwny śmiejący się i nad wyraz głośny dźwięk.

Gdy profesor pytał: jesteś socjalistą? wtedy Maria udawała, że kreśli znak swastyki w bliżej nieokreślonym miejscu. W ogóle znała wielorakie znaki na określenie ludzkich ideałów.

Dla panka, który nie umiał ani czytać ani pisać, były te przetykane obcymi słowami rozmowy niedostępną pra-puszczą, gdyż nauczył się cenić i podziwiać Marię jako obcą, ale nie niżej stojącą istotę,. Nabrał do niej głębokiego szacunku. Ponieważ przynosił jej jedzenie, sprzątał po niej, obsługiwał ją pod każdym względem nie mając kontaktów z żadnym człowiekiem poza profesorem, którego dzieliła od niego głęboka przepaść, polubił małpicę. Był uzależniony od jej humorów i próbował ją przekupywać. Pijąc kawę oszczędzał na mleku i cukrze, aby je jej sprezentować..

Gdy profesor pewnego dnia wyruszył z Marią w długą podroż powozem, panek miał wytrzepać i wyszczotkować ubrania swojego pana. Był więc wystarczająco zajęty. Jednak nadzwyczajnie się pośpieszył i wyszedł przed drzwi, aby ich wypatrywać. Gdy nikt się nie pojawia, siada na kamieniu w bramie i czeka. Gdy spogląda na bruk uliczny przed siebie, ulica pokrywa mu się czerwonawą mgiełką. Jednocześnie słyszy łomot krwi od czubka czaszki do szyi, tak jakby to był w nim uwięziony górnik, który chce się teraz przebić szybem do światła. Powoli jego uczucie zagęszcza się w obraz, w którym on sam wraz z ulicą i całym otoczeniem staje się wielkim płonącym kawałkiem

żelaza, kutym przez młot. Gdy profesor powraca, wszystko jest znów tak jak zwykle. Tylko nocą panek czuje huczący i łomoczący odgłos w tętnicach.

Któregoś dnia panek zaczyna zupełnie niepostrzeżenie przesuwać godzimy swoich posiłków, tak że spacerowicze już dużo wcześniej niż zwykle czują głód i wracają do domu jeszcze długo przed wieczorem. W ten sposób w sprytny sposób potrafi skrócić wyjazdy. Gdy wtedy Maria po powrocie szuka jedzenia i obwąchuje szukając go po wszystkich kątach, panek umyślnie odciąga ją jeszcze dalej i potrafi w zwierzęciu stopić uczucia do własnej osoby i zaspokojenia głodu, tak że Maria wydaje się być związana z nim jak z życiem. Odwrotnie podobnie jest także z pankiem. Profesor czyta i pisze cały dzień. Panek kręci się zawsze wokół Marii. Czasem panek zaczerwienia sobie wszystko dookoła, chociaż jest w środku pracy, tymi paraliżującymi wyziewami. Krew gotuje się. I jednaj nocy rzuca się na Marię, która z głuchym sapaniem zarzuca na niego przednie łapy dusząc go. To okres rui.

Pewnego poranka, gdy profesor za rękę z Marią chce zwyczajowo pomodlić się, jego słowa nie wydobywają się w zwyczajny sposób z ust. Jąkając się, łkając i wstrząsany atakiem gorączki nagle rzuca się na ziemię i tarza się aż po śmiertelną agonię całując ściągnięty przez siebie na podłogę obrazek i płacząc ze słowami „Maria, wybacz mi”.

Panek, któremu i tutaj obcy jest ludzki obyczaj, kładzie zmarłego ostrożnie w ogrodzie w gnojowisku i przysypuje go, gdy trup zaczyna się rozkładać. Maria obwąchuje wszędzie cały dom w poszukiwaniu profesora, jednak gdy w ogrodzie czuje zapach rozkładającego się ciała, otrząsa się i oddala truchtem.

Teraz panek jest panem domu, gdyż nie zgłasza się nikt, kto byłby w stanie to zakwestionować. Jednak czuje się także poddanym pańszczyźnianym zmarłego i codziennie otrzepuje jego ubrania. Regularnie karmi Marię a gdy ma potrzebę, śpi u niej. Jednak nie ma już wobec niej szacunku; gdy jest humorzasty, już jej nie przeprasza, tylko traktuje ją pejczem. Maria warczy i jest

posłuszna. Do tego ogranicza się jej kontakt z pankiem. Wszystko inne wymarło wraz profesorem. - - -

Tę historię panek wyśnił sobie nieledwie do samego końca, albo raczej historia wyśniła sobie jego, a on sobie ją tylko podsłuchał, nie było w niej niczego więcej jak tylko ponurego i ogromnego smutku nad chłopcem, który zupełnie go obezwładnił.

Rozdział II

Przejeżdżają granicę w zamkniętym przedziale. Niemieccy chłopi, którzy jako pionierzy pojechali na tereny Marchii Wschodniej, a teraz sromotnie zostali z niej przegnani. Kupcy, którzy w kraju pochodzenia chcą zrobić rekonesans, zanim zabiorą kobiety i dzieci do nowo starej malej ojczyzny, modlący się Żydzi, gadające kobiety, posilające się dzieci, ludzie, walizki, kosze, wielkie bele z betami, plecaki, parasole, pudła na kapelusze. W rogu przedziału przy oknie lampion patrzący oczami, które wszystko spijają, łąki, pola, lasy, na dworze chmury.

Pierwszy raz pociąg zatrzymuje się na granicy. Otwierają drzwiczki od przedziału, jakiś oficer prosi grzecznie towarzystwo do kontroli. Mundury, bieganina, wołania. Żadnych tragarzy. Walizki trzeba otworzyć, bety przekopane. Jesienne słońce nad barakami, walizki Lampiona pozwalają bez zastrzeżeń przekroczyć kontrolę, dokumenty sprawdzają pobieżnie, kontrola wydaje się być tylko formalnością. Przy czym wśród innych rzeczy na spodzie walizki są upakowane socjalistyczne książki. Za co rozjuszony żołnierz mógłby kazać rozstrzelać Lampiona. Ale oni nie sprawdzają. A większość z nich tak czy tak ledwo umie czytać. Jednak jego osoba wydaje im się podejrzana. „Szmugluje pan dewizy!” „Nie” „Proszę zdjąć płaszcz” „Dokąd pan jedzie?” „Do Monachium” „Po co?” „Na studia” Gdyby polski kulis wiedział, co w tym słowie się mieści i ile to waży. Niemieccy kontrolerzy są potem bardziej konkretni, jednak w stosunku do kobiet bardziej niegrzeczni. Jednak ich rodacy ignorują to. Po przejechaniu granicy nie zamyka się już przedziału. Ledwo

pociąg znów jest w ruchu, emigranci zaczynają śpiewać pieśni o Niemczech. Zaczyna jeden z nich a potem już wszyscy śpiewają razem, sędziwi mężowie i siwi śpiewają wspólnie. Uczciwie, rozluźnieni i z wielkim zapałem. Z wielkim uczuciem wyzwolenia. Głęboko oddychając. Trzech Żydów uśmiecha się przy tym krzywo. I milczy. Noszą jedwabne chałaty i mają ciemne brody, długie pejsy. Na początku wojny byli nastawieni bardziej entuzjastycznie w stosunku do Niemców, dużo bardziej nawet niż młodzi ochotnicy wojenni. Jednak Niemcy zachowali się gorzej w stosunku do nich niż Polacy i Rosjanie. Niemieccy oficerowie chłostali pejczami Żydów, gdy mieli odwagę, również chodzić chodnikiem. Kradziono i gwałcono, ze aż wstyd. Niemcy przyjmowali łapówki, jednak byli drożsi i mniej spolegliwi od Rosjan. Ich militarystyczny patos był w bardzo złym guście. Trzech Żydów uśmiechało się krzywo i milczało.

Lampion milczał nie uśmiechając się. Nawet gdy dla niego Niemcy nie byli ideałami, znał wśród nich takich, którzy zachowywali się po ludzku. Należał do nich. W małym stopniu wiedział, jacy byli u siebie w domu.

Należałoby nauczyć się, jak wyczuwać, poznać i rozróżniać plemiona. Należałoby zobaczyć dawne miasta i miejsca. Trzeba by poczuć ich sztukę. Trzeba byłoby oddzielić naród od własnych przywódców wojskowych. Na pewno prawość, uczciwość, człowieczeństwo mieściło się bardziej w ich kulturze niż służalstwo niektórych narodów słowiańskich. Można by wraz z nimi wypowiedzieć wspólną walkę przeciwko brutalności Polaków. Powinno to być właściwym ządaniem Lampiona, jak powiedział sobie na początku.

Jednak najpierw nastąpiły trzy dni w Berlinie, szalony ruch, teatr, kabaret, ludzie, ludzie, ludzie. Potem siedem dni Monachium z bawarskimi władzami, nakazy opuszczania mieszkań z powodu kryzysu mieszkaniowego i szykany władz, oraz prawdziwie polski trick, przy pomocy którego Lampion wystrychnął na dudka mundurowych. A potem za najwyższymi pozwoleniami wolno mu było pozostać i pogrążyć się w wariacko pięknym mieście.

Gdy nadeszły pierwsze świadome noce, także ledwie co zapomniana bieda w Polsce, bieda w Polsce, wydała mu się okropna. Podczas gdy sam mógł, nie zaczepiany przez nikogo, spacerować pomiędzy wspaniałymi budynkami, być może tam bito jego braci. Podczas gdy w sali wykładowej słuchał narodowego, w swojej ekonomii bezradnego przemówienia głupawego profesora ekonomii narodowej i niewinnego tupania studentów, tam być może wyrywano brody ojcom. Tutaj duchowy narybek śpiewał i krzyczał i z radości hałasowania wpadał w jambiczne ekstazy, tam śmiano się i mordowano. Kontrast był niemal zabawny. A więc tutaj nie mają oni na myśli tak złych rzeczy, myślał sobie Lampion, chcąc sobie pokrzyczeć przy piwie, ale na pewno w swoim wnętrzu są przyzwoitymi chłopakami. Trzeba tylko umieć pozyskać ich dla sprawiedliwej sprawy, a oni już za nią podążą. Trzeba pracować. Trzeba szukać. Trzeba szukać ludzi. W Lampionie wewnętrzny głos wołał za człowiekiem. Ten głos wrzeszczał za człowiekiem. Nie można było tylko skulic się w sobie i trwać jak jeż. Gotowość do akcji jest wszystkim, ludzie przyjdą sami z siebie, gdy na to będzie czas i stał godziny za godzinami na ruchliwych placach. Ale nikt go nie szukał, nie przyszedł nikt, nikt nie mówił do niego: wiem o twojej tęsknocie, chcę ci pomóc.

Pewnego razu wieczorem czerwone słońce odbijało się w Goldzier za mostem na Izarze, był to drugi piątkowy wieczór Lampiona w tym mieście. W domu udawano się teraz w odświętnych ubraniach do świątyni, żadna obawa przed pogromami nie mogła im ukraść sabatu. Tęsknota i uczucie gorącej więzi z domem ogarnęły Lampiona. Szedł niespokojnie wzdłuż i wszerz. W pomarszczonej uliczce stanął przed małą budowlą, na której kopule błyszczała gwiazda Dawida. Była to synagoga, jak to wyczuł Lampion, po raz pierwszy w swoim życiu z poczuciem wewnętrznego związku. Gdy do niej wszedł i skromnie zatrzymał się w rogu, nie był jednak w stanie się pomodlić. Również nie tak jak w domu, wbrew jego dążeniom ateistycznym, melodyjne hebrajskie mamrotania nie pojawiły się na jego wargach. Pomieszczenie miało w sobie coś

przygnębiająco zimnego. Zbyt głośny głos prowadzącego modlitwę miał w sobie coś przemożnie niemelodyjnego. Nie było tu nigdzie rozmachu i uroku wschodnich Żydów, zamiast tego beczał zimny patos. Jednak Lampion nie chciał sobie tego uprzytomnić. Bronił stojących przed sobą ludzi, chociaż, gdy nabożeństwo nieoczekiwanie się zakończyło, odetchnął z ulgą będąc gotowym po nagłej zmianie nastroju do otrząśnięcia się z myśli o swoich rodakach. Podszedł do niego jakiś pan i zaprosił go na kolację..

Lampion przyjął radośnie to zaproszenie. A więc ludzie zgromadzili się już. Pan ten przedstawił się jako przewodniczący gminy. Tym lepiej: miarodajny człowiek w tym mieście był pierwszym w nowej pracy, Lampion uważał go już za apostoła swojej ewangelii. Gdy jedzono w niegustownie przepełnionym pomieszczeniu zupę, Lampion zauważył, że traktowano go tylko jak pierwszego lepszego człowieka, któremu gwoli zaproszenia na wieczerzę sabatową chciano jedynie udzielić religijnej jałmużny. Jednak co to oznaczało, chodziło tu jedynie o niego, o niego i o to, co umiał zrobić ze swojej wielkiej szansy. Gdy jedzono przekąskę, spotkany pan spytał się o pochodzenie Lampiona i zawód. Lampion przyjął rozmowę i opowiedział o cierpieniach tych, którzy pochodzili stamtąd, skąd przyjechał. W tym niebiańsko spokojnym kraju nikt nie ma o tym pojęcia.

W Lampionie zapłonęły płomienie. W pociągach wyrywa się Żydom brody. Rabuje się i bije ich na ulicach. W dniu przed jego wyjazdem znaleziono zamordowanego młodego Żyda, któremu dla radości zniszczenia wyrwano genitalia.

Gdy podzielono już mięso, gospodarz upomniał Lampiona, żeby jadł i powiedział, że tego rodzaju praktyki goszczącego ich narodu polskiego, są dla niego całkiem zrozumiałe, gdyż polskie żydostwo to nieznośna banda przemytników zarówno jako naród handlarzy jak i ogólnie w swoim człowieczeństwie. O tym przekonano się dostatecznie w Monachium po utworzeniu wschodnio-żydowskiej Republiki Rad. Lampion powstał blady jak

śmierć mówiąc „jestem polskim Żydem!” I wyszedł z domu zarządu żydowskiej gminy ortodoksyjnej w Monachium.

Gdy ów dialog z pobożnymi i ateistami o syjonistycznych i obywatelskich poglądach, ubogimi i bogatymi Żydami w stolicy Bawarii przybierał na zmianę ostrzejsze i łagodniejsze formy, Lampion przestał mówić u trudnej sytuacji swoich pobratymców. To, co tutaj w danej chwili nie bolało ich we własnym ciele, nie obchodziło ich. Dopuszczali milcząco lub przy pomocy fraz o ubolewaniu to, że jego i ich własnych braci mordowano. Czy oni sami nie byli także sami Żydami? Musiał się sam ze sobą dogadać. Lampion chciał zapomnieć. Przesiadywał każdego dnia o porankach w muzeach, przesiadywał wieczorem każdego dnia w teatrze. Ładował się elektrycznością. Przeładował się intelektem. Zrezygnował z siebie w sztuce. Stał się smutny w sztuce. Długie godziny spędzał przed szmaragdowymi progami Izary, wpatrywał się w żarzące się zorzą wieczorną górskie przepaści, które były przepełnione śniegiem i błyszczały z daleka nad błogosławionym krajem. I wydawało mu się, jakby płaskie, bezwodne, szerokie pola i lasy polskie były o wiele piękniejsze i błogie niż wszystkie te bezludne błogosławieństwa .I zdarzyło się, że zaczął łkać z nostalgii za domem.

Semestr się jeszcze nie skończył, ale Lampion uszykował się już do podróży do domu. Nie miało to się przecież zakończyć śmiercią, być tylko wśród moich ziomków, tylko u jego ziomków, śpiewało mu we wszystkich żyłach, krew śpiewała. Jednak polski konsulat odmówił mu wizy. Lampion przechadzał się zniechęcony ulicami. Jednak następnego poranka znalazł się list na tacy obok filiżanki okropnej kawy i chleba do śniadania, który gospodyni zwykła była przynosić mu do łóżka. List został przekierowany i przepisany na niego. Lampion rozpoznał po poprawionym adresie charakter pisma swojej matki. Ale dalej charakteru pisma nie rozpoznał, na kopercie była pieczęć pocztowa Warszawy. Otwarł ją pospiesznie i przeczytał:

„Będę na Wielkanoc w Poznaniu. Gdyby pan nie mógł przyjechać do mnie przynajmniej na jeden dzień, przyjadę do pana. Muszę z panem porozmawiać. Niech pan do mnie nie pisze. Od Wielkiej Nocy będę przychodziła codziennie na pierwszy poranny pociąg na dworzec. W przeciwnym przypadku przyjadę siódmego dnia po Wielkiej Nocy. Potrzebuję pana!

Manila."

Wtedy już Lampion nie mógł powstrzymać się ze szczęścia i smutku i swawoli. Miał jeszcze trzy dni, czwartego Manila byłaby już w Poznaniu, musiał jeszcze przyjechać przed nią. I nagle udało mu się bez problemów otrzymać wizę, za co dał urzędnikom napiwki w książęcym, słowiańskim stylu. Zawstydził się, że wykorzystywał swoją gospodynię płacąc za swój rachunek na pożegnanie podwójnie. Nagle odkrył, że wydał niemal całą swoja gotówkę, pozostało mu pieniędzy wystarczających z ledwością na czwartą klasę. Ale cóż to wszystko znaczyło, gdy jechał do domu, do swoich krajan. A był tam jeszcze człowiek, który go potrzebował, była tam kobieta, która go szukała.

Potem łomotała w kołach tłokami nocna pieśń, stalowa pieśń. Trzy dni, trzy noce w pociągu osobowym. Co pół godziny pociąg zatrzymywał się, znów miejscowość, znów miejscowość, znów rynek. A przy każdym postoju Lampion trwożył się i bał, ze pociąg już nigdy dalej nie ruszy, a gdy przyjedzie, to Manili już nie będzie. I zawsze, gdy koła znów zaczynały się kręcić, a żelazo w szynach piszczeć, cały skurcz i wszelka trwożliwa opresja przepełniały znów Lampiona, uwalniały się, zaczynał się uśmiechać a jego serce uśmiechało się z radości. A tłoki łomotały swą nocną pieśń, tysiące maszynowych olbrzymów niosło ją dalej. A godziny spędzane w dusznych poczekalniach i pod przewiewnymi wiatami peronowymi nie chciały się skończyć i – i nagle mijały. A tory wynurzały się ze zmroków a dudniące tunele tłumiły światło, a doliny zakręcały się i ryły w górskiej skale. A szczyty piętrzyły się niżej a Lampion

patrzył i widział, że zaczęła się nizina i ze przejechano połowę drogi, tę cięższą. I wychylił się daleko z okna i ujrzał kurczące się góry i zobaczył je triumfalnie, tak jakby przekopał się przez nie swoimi własnym, łamiącymi się paznokciami.

I nie słyszał, jak chłopi i subiekci gadali o drożyźnie i żydowskich kanciarzach i nie czuł zwietrzałego, martwego wyziewu ich wypalonych fajek, patrzył i patrzył. A rytm jazdy, jazdy do domu tkwił w jego kończynach do tego stopnia, ze mógł myśleć tylko w pieśniach, a każde znaczenie we wszystkich znaczeniach było dla niego śpiewem: jadę do domu, do moich ziomków, jadę do domu, do moich ziomków, i jest tam taka jedna, która na mnie czeka, i jest tam taka jedna, która na mnie czeka…

I granica nie była już granicą. Nie było szlabanów, wszystko było trampoliną. Jeden człowiek zagadnął go o ogień, był to polski maszynista lokomotywy, za dziesięć minut pojadą dalej. Lampion podarował mu papierosy. Mógł go objąć.

Mężczyzna zaprosił go do zwiedzenia lokomotywy. Przepełniony wewnętrzną radością Lampion dosiadł bestii, która miała go wieźć. I pozostał u góry, gdy następnie pojechała. I tysiąc razy głośniej dudniły tłoki popychając koła, łomotało, gdy wrzucali węgiel na palenisko, wrzeszczała i gwizdała parskająca sprężona para w rurach i wystrzeliwała w noc sapiąc i rycząc. I znów przelatywały snopy iskier, żarzące się kawałki węgla, jak z małego wulkanu. I ciągle Lampion śpiewał soją pieśń powrotną i ciągle głośniej Lampion śpiewał swoją pieśń domową i coraz bardziej buchał szalony wiatr kolei z jego warg i uderzał w las i przebrzmiewał z grzmotem. I ciągle od nowa Lampion zaczynał: jadę do domu do moich współbraci, i jest tam taka jedna, która na mnie czeka, przybywam, przybywam, przybywam.-

Jechali na wschód. Noc zrobiła się szara. Przez łąki snuła się wieczorna mgiełka. Kominy fabryczne wczepiały się w horyzont, przelatywały, przelatywały do tyłu. Rzeka była zupełnie czarna, gnuśnie się toczyła nie falując pod dudniącym mostem, mijała, Mijala. Potem jednak szyny rozeszły się i

rozgałęziły się, dzień rozżarzył się i nadleciało miasto. Hamulce wsunęły się we wrzeszczące żelazo, pociąg zatrzymał się i stanął jak zwierzę, raczej gotowy ślizgać się do tyłu niż dać się porwać o krok dalej.

Lampion wyskoczył z wagonu i zawołał do pierwszego kolejarza, którego zobaczył po polsku pytając, czy nadjechał już poranny pociąg warszawski. Nagle zaczął mówić po polsku z tak wielką sprawnością językowa, jak gdyby używał go przez całe życie. Kolejarz spojrzał na niego ze zdziwieniem i tylko skinął. Wtedy Lampion pobiegł w dół i w górę schodów przez tunel do następnego peronu. Jednak nie było tam żadnego pociągu. Wtedy pobiegł znów schodami w górę i w dół przez tunel do następnego peronu. Ale tam stał tylko pociąg towarowy. I znowu pobiegł przez tunele i znów z powrotem do pierwszego peronu.

Wtedy przyszło mu do głowy ze pociąg być może mógł znów odjechać i wybiegł i przeszukał hale i poczekalnie i plac przed dworcem, jednak nie znalazł Manili. Sam nie mógł i nie chciał w to wierzyć, że jej nie ma, i pobiegł i pytał i pytał i pobiegł, aż usłyszał, ze pierwszy pociąg z Warszawy nadjedzie dopiero za godzinę.

Wtedy zobaczył swoim wewnętrznym wzrokiem znów twarz kiwającego do niego człowieka w mundurze, była to gęba, szyderczy diabeł, twarz do pobicia i podeptania. Ale Lampion wcale nie wpadł na pomysł, żeby zemścić się na dającej znak osobie, było to tak bezgraniczne szczęście, ze Manila mogłaby przyjechać dopiero za godzinę, że wybaczył wszystkim wszelkie możliwe cierpienia, które kiedykolwiek mogły mu się przydarzyć.

W tkliwych słowach, tak że dziewczyna za okienkiem biletowym musiała się złośliwie uśmiechnąć, Lampion zakupił peronówkę i usiadł na jednej z obskrobanych, brudnych drewnianych ławek na peronie. Patrzył szczęśliwy przed siebie z pełną satysfakcją, że mógł czekać. Choć wiedział, że pociąg nie mógł był jeszcze przyjechać, co dwie minuty podskakiwał i szedł do krawędzi peronu i patrzył wzdłuż toru, po którym miała przyjechać i głaskał swoimi

oczami szyny, które ją mu przyniosą. I siadał znów bez pospiechu i nie podnosił ani razu swojego wzroku do wielkiego zegara, który wisiał nad nim i upominał.

Gdy godzina czekania skończyła się, Lampion wstał powoli i znacząco jak w głębokiej gotowości do czynienia wielkich rzeczy. Przybiegli tragarze z popychanymi wózkami, ludzie z walizkami, ludzie z kwiatami, niespokojni i pełni oczekiwania ludzie. Gdy Lampion zobaczył kwiaty, przyszło mu do głowy, że powinien był kupić także kwiaty, jednak nie miał już na to pieniędzy. Już wrzeszczący sprzedawcy zaczęli oferować napoje orzeźwiające, kolejarz w czerwonej czapce wywoływał kolejność wagonów pociągu. Lokomotywa z potężną kolumną dymu wyłoniła się z zakrętu na horyzoncie, coraz bardziej się powiększając przeleciała obok niego z szeroko sklepioną, czarna piersią i drżąco dudniącymi tłokami po boku, Lampion cofnął się przed powiewem nadjeżdżającego pociągu i z potężnym hałasem tłoków maszyny, przejechały tender, wagon bagażowy, wagon pocztowy, ciągle jeszcze w piekielnym tempie, przeszywając i zaciemniając dymem halę dworca,

Nagle Lampion ujrzał przy pociągu coś jasnego i było to jak chorągiewka. I było to jasne i błyszczące jak zew fanfary.

Krzycząc ze szczęścia zobaczył Manilę. Leżała wygięta całą górną częścią swojego ciała na gzymsie okna. Mogła nawet wypaść, tak bardzo wychylała się, obejmując go oczami, rękoma, obu rękoma, mocno do niego machając z palcami otwartymi i rozczapierzonymi, tak jakby chciała go jeszcze dosięgnąć w przejeździe. Jednak włosy, włosy były zupełnie rozpuszczone i przelatywały i uciekały na wietrze z czoła z jasnym, czerwonawym blaskiem wokół bladej twarzy, płomieniejąc i odcinając się na tle brudnego tła kolei, wpalając się w serce niczym wizja. Gdy go zobaczyła, odskoczyła od okna, bał się o nią, pobiegł rozpychając przed sobą ludzi, do jej przedziału.

Pociąg zatrzymał się z piskiem hamulców. Ubrana w kapelusz i płaszcz, z walizką pod pachą przeskoczyła jednym susem trzy stopnie i stanęła przed nim. Płaszcz był rozpięty, kapelusz krzywo założony, włosy jeszcze bardziej

chaotycznie rozwiane załamywały się wokół twarzy i ciągle jeszcze stałą w tej poświacie, a jej oczy były całkiem jasne i błyszczały.

Stali przed sobą w zaskoczeniu. Oczy Manili nagle pociemniały i pogłębiły się, a w kącikach ust pojawił się uśmiech. Uśmiech obiegał wesoło jej usta i śmiało jej oczy, przysunęła w jego stronę walizkę, podała mu obie dłonie i powiedziała zupełnie swobodnie i bez obawy: „Oto jestem, dzień dobry!”

Zupełnie skonsternowany Lampion stał przed nią mamrocząc słowa pozdrowienia. Przyszła mu do głowy myśl, że nawet jeszcze nie przeszli ze sobą na ty i ze jeszcze ostatnim razem widzieli się ze sobą jak całkiem obcy ludzie i w nieporozumieniu i ze nie wiedział, dlaczego przyjechała. Myśl ta przesunęła się przez niego jak chmura przemyka przez słońce – i natychmiast już jej nie było - wygrała chwila bieżąca, znów była Manila. Śmiała się i opowiadała, on wziął jej walizkę i poszli razem do miasta.

Po świętach miała zawieźć dziecko hrabiny do Poznania, które chodziło tam do szkoły i mieszkało u krewnych. Chciała sobie obejrzeć piękną starówkę miejską i pragnęła go zobaczyć. Nowe otoczenie było bardzo ładne, ale i obce, tęskniła za nim. Podziękowała mu, że przyjechał. A gdy jej powiedział, że przyjechał z Monachium, łzy wypełniły jej oczy. I tego poranka nie mówili już więcej ze sobą.

Lampion dopytał się o drogę i zaprowadził ja do domu, w którym w tych dniach miała mieszkać. W drzwiach domu zauważyła, że byłoby mądrzej, gdyby najpierw sama poszła do ludzi, których nie znali, zrobiłoby to lepsze wrażenie. Poprosiła go, aby odebrał ją po południu. I weszła na szerokie schody zewnętrzne. Wydało mu się, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Gdy poszła, wchłaniał jej widok z palącymi oczami w siebie. Była szczupłego i wyniosłego wzrostu, wydawała się był być wysoka, nawet jeśli nie była wielka. Jej pęciny były takie jak szlachetnego zwierzęcia i była ubrana w dyskretnie elegancki sposób.

Nie znała miasta, chętnie by sobie je obejrzała. Ale miał obawę przed opuszczeniem placu przed domem, w którym przebywała, tak, jakby nie miał bramy do jej domu przed sobą, mógł ją utracić, tak jakby ten dom, bez jego straży, mógłby zniknąć z powierzchni ziemi. Oprócz tego, nie chciał z tego nowego miasta niczego oglądać, czego by jednocześnie i ona nie widziała i tak przez wszystkie godziny, które mu zostały do południa, przechadzał się tam i z powrotem po drugiej stronie. Nie tracił bramy z oczu, wznosił oczy w kierunku okien, jednak nie ukazywało mu się w nich nic innego niż przemykające cienie.

Słyszał jak w arterii szyjnej waliła mu krew, gdy Lampion w pośpiechu, a jednak z wahaniem, wchodził po schodach. Jest oczekiwany, powiedziała służąca, nie odwiesił na początku płaszcza i to zrobiło na pani domu, której najpierw przedstawiła go Manila, pierwsze złe wrażenie. Bardzo niezgrabnie Lampion pozdrowił tę hrabinę i nie pocałował jej – jak to zwykle czynili Polacy – w rękę, było to drugie złe wrażenie. Hrabina zaczęła od teraz, pogardzać „żydowskim łobuzem", który na pewno był brudny i nie miał żadnych manier, a Manilę, która przypuszczalnie zniżyła się do romansu z młodym, ignorować. Obojej pożegnali się natychmiast, aby wyjść na spacer po mieście i mieli zaszczyt dotknięcia zaledwie koniuszków palców, które Manila ustępując mimowolnie przed zwyczajem kraju, musnęła wargami.

Gdy służąca chciała zamknąć za nimi drzwi, hrabina zawołała do niej z pokoju, aby łaskawie przekazała panience, że punktualnie o siódmej będzie kolacja. Służąca zaczerwieniła się i nic nie powiedziała. Manila pobladła ze wstydu, podczas gdy Lampionowi w jego nieświadomości zakochanego ta mała scena, stawiająca go w najbardziej fatalnym świetle, uszła uwadze.

Szli wzdłuż i wszerz po ulicach, przy czym Lampionowi, który musiał myśleć o obrazach niemieckich ulic, wpadła w oko ruchliwość tej przecież tak małej miejscowości. Także i wdzięk, z którym kobiety uśmiechały się i kroczyły, gust, z którym się ubierały i światowy szyk mężczyzn dziwiły go, niemal rozgadał się na ten temat i zaczął marzyc w międzyczasie o sztukach

pięknych, tak jak niegdyś poznał je w Monachium. Tym razem Manila milczała, mogło także być tak, że czuła się na ulicach skrępowana, że na swobodzie, lub w znanym jej mieście byłaby bardziej swobodna, a być może było tak, że myślała o swojej tak mało szczerej arystokratycznej gospodyni, w której ręce był złożony w tych dniach jej los. Mówiła mało, słuchała go w zastanowieniu, a gdy drobny słoneczny uśmiech zagościł na jej policzkach, był to już czas, aby poszukać drogi powrotnej.

Jednak przy kolacji hrabina byłą zaskakująco miła, zaprosiła na nią Lampiona, który tym chętniej przyjął zaproszenie, że dopiero teraz to sobie uświadomił, jeszcze niczego nie zdążył skosztować. Ale poza tym kazała się jeszcze wystarać o dwa bilety do teatru, dla Lampiona i Manili i teraz młodzieniec nie mógł nie pocałować jej pełen wdzięczności w rękę, przy czym nie wydało mu się to żadną służalczością. W miły sposób hrabina, zachwycająco matczyna swatka, ponagliła ich do wyjścia, dała Maili klucze i zezwoliła jej na „dłuższą przechadzkę".

Gdy teraz znów wyszli z domu, byli oboje w najweselszym nastroju. Hrabina machała do nich z okien narożnego pokoju i swawolni niczym dzieci pobiegli przed siebie, odwrócili się śmiejąc i pomachali swoimi chusteczkami. Na rogu zatrzymali się obaj w równym kroku i spytali się: czy Pan/Pani chce pójśc do teatru? Ponieważ powiedzieli to w tej samej sekundzie i tymi samymi słowy, zamilkli nagle niczym zaczarowani i zahaczyli się wzajemnie palcami życząc sobie chyba przez jedną minutę, jednak z największą wewnętrzna gwałtownością spełnienia trzech najgorętszych życzeń. Potem Lampion spojrzał pytająco na swoją towarzyszkę marzeń, Manila skinęła, wtedy przeciął swoją dłonią łańcuch paluszków, klątwa milczenia puściła i nigdy ta para nie była tak bardzo przekonana o realizacji własnych marzeń.

I tak podwójne pytanie o to, czy mieli pójść do teatru, było z góry rozstrzygnięte.. Trzymali się wesoło za ręce i podskakiwali wzdłuż ulicy, tak jakby hrabina, która nie mogła ich już zaobserwować z okna swojego domu,

była jakąś nauczycielką - złośliwą jędzą, której chcieli spłatać śmiałego figla. A więc zamiast dopytać się o drogę do teatru, podskakiwali dalej w kierunku, który obrali, mając nadzieję, że dojdą zaraz do granic miasta. Śmiali się do siebie, śmiali się wewnętrznym śmiechem z wszystkiego i każdego i gdy jedna wyglądająca z oka parterowego budynku, gąbczasta, starsza kobieta zawołała złośliwie do swojej sąsiadki, że zachowują się obaj jak dzieci, uśmiechnął się Lampion do niej przekornie i głupawo,: „Jesteśmy nimi" I gdy następnie Lampion, po tym incydencie trochę uderzył się w czoło, w głupiej chłopięcej manierze zapytał się Manili się: „a co Pani o tym sądzi?", powiedziała w najlepszej gwarze berlińskiej: „Pani to w ogóle bzdura, „jestem dla ciebie ty", przy czym cała klątwa prysła.

Pomiędzy śmiechem i przekomarzaniem rozwinęła się teraz nowa rozrywka, której czar brał się stąd, że weszli na tylko skąpo oświetlone tereny parkowe, otaczające miasto na kształt wałów obronnych. Te rozmowy były prowadzone tylko trochę ciszej i z największa przyjemnością, stwierdzili, że każdy z nich miał siedemnaście lat i trzy miesiące i że Lampion przyszedł na świat tylko trzy godziny wcześniej od niej. Teraz pogratulowali sobie wzajemnie po fakcie, jednak równocześnie i tymi samymi słowami z okazji urodzin, co z kolei dało znów szybko podchwyconą sposobność do ujęcia się za małe palce i wypowiedzenia życzeń.

Wtedy ich wesoły i głośny nastrój został nagle przerwany a zamiast niego nastała ściśnięta i pełna oczekiwania cisza. Szli teraz powolnymi krokami dalej wpatrując się w drzewo, które mijali, jak kamień milowy swojego losu. Wtedy Lampion zebrał się na odwagę, odliczył sześć drzew, które mijali i powiedział przy siódmym „Wiem, czego sobie życzyłaś", a słowo ty wydobyło się ciężko niesione sercem z jego ust.

„To samo, co ty" odpowiedziała Manila cicho i czule.

Musiał teraz wiedzieć, że bardzo go polubiła, ogarnęło go nadmierne drżenie. Jak często słyszał i czytał, rzuciłby się przed nią i powiedział; kocham

cię, lecz dziwny wstyd przeszkodził mu w tym. W milczeniu i jeszcze wolniej poszli dalej.

Przeszli przez mały mostek. Potem drogi rozeszły się. Na początku dalszej drogi Manila zatrzymała się, Lampion zaraz przy niej. Położyła swoje ramiona wokół jego głowy i pocałowała jego wargi. Wtedy nie mógł już nic więcej zrobić niż również ją pocałować, lecz jego pocałunki były jeszcze nieśmiałe i drące, ponieważ pierwszy raz ją całował. Nie mieli teraz odwagi, aby spoglądać na siebie i szli ze spuszczonymi głowami i na czubkach palców dalej, tak jakby każdy obawiał się zwrócić uwagę drugiego na swoje istnienie. Po chwili zauważyli, ze chodzą w kółko i wbrew swojej woli muszą znajdować się w drodze powrotnej do domu. W małej zatoczce pomiędzy drzewami kryła się ławka i na niej usiedli.

Przysunęli się do siebie, aby ogrzać się i uchronić przed chłodem wieczoru i mówili sobie nawzajem drżąc tysiące miłych rzeczy do ucha: jak tęsknili za sobą i jak modlili się o znalezienie, jak o sobie marzyli i jak byli zazdrośni o cały świat, jak każdy był szczęśliwy, gdy każdy obcy miał prawo uścisnąć im rękę, a tylko oni oboje, którzy byli wzajemnie przeznaczeni dla siebie od początku ich życia, byli oddzieleni od siebie wieloma dniami podróży, ale jednak wbrew wszystkiemu i wszystkim na przekór spotkali się. I że teraz są najszczęśliwsi ze wszystkich żywych istot, i że będą się zawsze i każdego dnia namiętnie kochać i że już naprawdę ich nic nie rozdzieli, nawet jeśli zna zewnątrz mieli pozostać oddzieleni.

Niemniej podczas tej ogólnej i najpiękniejszej rozmowy miłosnej to Lampion mówił najwięcej, podczas gdy Manila delikatnie i czule wtulała się w jego ramię i w nim kryła, rzadko cos mówiła, jednak tym częściej wznosiła w pocałunku i okrywała jego usta, oczy, policzki, uszy, szyję i całą twarz pocałunkami, od czego coraz mocniej i od wszystkiego jak był chroniony jak przez jakiś święty czar. Wsunął swoje prawe ramię pod jej kręgosłup a lewe pod jej kolano i podniósł je cicho na swoje kolana, nałożył jej ręce wokół swojej szyi

i od tego momentu każde słowo wznosiło się w tysiącach pocałunków. Nieśmiałość Lampiona stopiła się jak szron na słońcu, mocniej przyciskał ciało Manili do siebie, jeszcze bardziej namiętnie naciskał na jej wargi, kochał ją każdym porem swojego ciała, a jednak nie wiedział, z jaką błogością jego ciało było gotowe ją porwać i także Manila nie była jeszcze obudzona do swojej całej zmysłowej radości z miłości.

Z daleka zaskrzypiały kroki na piasku. Ze ściśniętym sercem Manila wzniosła oczy ku Lampionowi chcąc uwolnić ramiona z jego karku. Jednak on trzymał ja mocno i uważał, że nie powinni przed nikim ukrywać, że się kochają, czegoś tak wspaniałego nie musieli się przecież wcale wstydzić, jak gdyby to był grzech. Manila siedziała przy nim dalej ze zwieszoną głową. Gdy jednak kroki stały się głośniejsze i gdy Lampion ujrzał, że był to zbliżający się polski oficer, poluźnił mimowolnie objęcia czując, że jednak lepiej byłoby ustąpić Manili, jednak mężczyzna ten już stał przed nimi mówiąc z protekcjonalną grzecznością: „Dobry wieczór".

Ani Lampion ani Manila nie odwzajemnili jego pozdrowienia w języku polskim. Mieli cichą i bojaźliwą nadzieję, że intruz pójdzie dalej. jednak potężny starszy gość stanął w rozkroku przed nimi wkładając ręce do kieszeni spodni i powiedział nagle w języku niemieckimi jeszcze bardziej ironicznie i wyniośle, że cieszy go, że Żydzi dbają o to, by na czas postarać się o swoich potomków.

Lampion nie mógł powstrzymać się od krótkiego okrzyku oburzenia do niego, co go to obchodzi i że tylko jest zazdrosny i że niech się wynosi. Oficer przerwał mu szorstko pytaniem, a ile to macie lat? A gdy nikt z nich nie udzielił odpowiedzi stwierdził; no to jest przecież przestępstwo przeciw obyczajności publicznej, chodźcie dzieci, zlecimy jego ustalenie. Wtedy Lampion, który potraktował sprawę zupełnie na serio, krzyknął na Polaka, chociaż sprawa niezupełnie taką była, że nie ma do tego prawa. Ale ponieważ oficer czuł teraz całą swoją przewagę, powiedział, by zechcieli pójść z nim i nie wymagali

pokazania przez niego w tym celu rewolweru. Oto teraz siła miała pierwszeństwo przed prawem, a oni nie mogli nic innego zrobić, niż towarzyszyć mundurowi. Lampion szedł z jednej strony, Manila po drugiej, oficer pomiędzy nimi.

Gdy weszli pod pierwszą latarnię, Polak zatrzymał się, uniósł nieco podbródek Manili i zlustrował ja z góry do dołu: „A to mi się udała miła zdobycz, chodź no, daj mi buziaka”. I pożądliwie wydął usta. Manila uderzyła go pięścią w twarz. Ale on tego nawet nie zauważył, powstrzymał jej po prostu ręce i pocałował ją z użyciem języka, tak, że nie mogło to ujść uwadze Lampiona; Manila zamknęła oczy mając taką minę, jak gdyby zupełnie zamknęła; zniosła to z taką cierpliwością.

Były to najokrutniejsze minuty w życiu Lampiona. Zagotował się w swoim wnętrzu i przelatywało mu po kolei przez głowę, co mógłby uczynić. Interwencja słowna byłaby rzeczą głupią, pobudziłoby to oficera jeszcze do większego grubiaństwa. Rzucić się na niego, byłoby zupełnym szaleństwem, mężczyzna miał przy sobie broń a Lampion był zupełnie bezbronny, do tego jeszcze znacznie niższy od rywala, który mógłby uderzeniem pięści rozciągnąć go na miejscu. Najgorszą rzeczą było jednak to, ze mógł się jeszcze zastanawiać, co zrobić, aby nie rzucić się na ślepo na swojego przeciwnika, obojętnie, czy sam straciłby przy tym swoje życie. Ponieważ w myślach rozważał już jednak opaczny i nierozsądny sposób wydobycia się z afery, to największa fatalność, nieszczęśliwa gwiazda jego życia, polegająca na tym, że lubił marzyć i wyobrażać sobie rzeczy niemożliwe zamiast po prostu czynić to, co było możliwe, zyskała znów w nim przewagę.

Wyobraził sobie: jakby to było, gdyby przy pomocy zręcznego chwytu wyciągnął przeciwnikowi rewolwer z kabury i postawił przed alternatywą albo śmierci, albo uklęknięcia przed Manilą i poproszenia ją o wybaczenie, za to co jej zrobił, a nawet poprosić ją o darowanie życia. Albo wyrwać po prostu kamień z bruku i strzaskać nim bez słowa czaszkę Polaka. Wyciągnął

chusteczkę i bojaźliwie ja upuścił. Popatrzył za nią i ujrzał, że jezdnia była utwardzona asfaltem. Zroszony potem, w największym wymiarze upokorzony i nie poznający siebie w niegodnym jego istoty, marzycielskim tchórzostwie, podniósł chusteczkę i włożył ja do kieszeni.. Oficer nie odwrócił się nawet w jego stronę, podczas gdy Manila patrzyła za nim jak prześladowana zwierzyna. Przy następnej latarni żołnierz powtórzył swój manewr a Lampion szedł, patrząc przed siebie w ziemię, z tyłu. Zrezygnował nawet z własnego wewnętrznego oporu.

W pół godziny jeszcze bardziej oddalili się od miasta, a zamiar Polaka, udowodnienia przestępstwa obu sprawcom, okazał się wyraźnie nie maskowaną fintą, tutaj krzyżowały się dwie drogi, a oficer lekko pchnął Manilę i zawołał do Lampiona: „No, łap ją!” Potem zmusił jeszcze Lampiona do objęcia jej i pocałowania na jego oczach oddalając się z szyderczym uśmieszkiem.

Jego kroki skrzypiąc oddalały się coraz bardziej, spoglądali za nim, aż stał się coraz mniejszy i zniknął. Obudzony ze snu wróbel piszczał nad nimi. Zawrócili. Za chwile pojawiły się pierwsze domy miasta. Szli sztywno obok siebie. Jak na pogrzebie. Przed bramą domu, w którym mieszkała, zatrzymała się, dala mu rękę, pocałowała go chłodno w usta, weszła po stopniach do domu, zamknęła drzwi, nie odwróciła się, zniknęła. Nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Lampion zatrzymał się przed domem i patrzył za nią, także, gdy jej już nie było widać. Jak ten dzień się zaczął, a jakie było jego zakończenie? Na górze w jednym z okien zapaliło się światło. Wybałuszał oczy wypatrując, czy Manila jeszcze raz mu się pokaże. Jednak zasłony pozostały bez ruchu. Stał i wlepiał oczy, aż i to okno pociemniało martwe w swoim chłodnym połysku szyb jak inne. Wciąż jeszcze stał trzymając swój kapelusz w dłoni po pożegnaniu. Nie będzie mogła usnąć. Na pewno jeszcze na niego spojrzy swoim okiem . Ale nic się nie poruszyło.

Rozbrzmiały kroki. Policjant obsztorcował Lampiona: Żebranie jest zabronione, niech idzie dalej. Gdy skręcił za następny róg, okno otwarło się, z ciemności wychynęła głowa Manili lustrując widmowo pustą ulicę. Znikła znów i zamknęła okno.

Lampion chodził wzdłuż i wszerz po ulicach, chodził przez całą noc. Nie marzł i nie czuł głodu. Gdy zaczęło świtać, usiadł w niszy bramy kościelnej i zasnął ze zmęczenia i smutku. Spał głęboko na twardym kamieniu śniąc niespokojnie o swojej matce, która zawsze widziała go pobitego i którą tylko jeden jedyny raz widział płaczącą.

Śniło mu się o tym płakaniu, wtedy otworzyła się ze zgrzytem brama. Kościelny kopnął go czubkiem stopy i krzyknął, że obrzezany pies nie ma czego w kościele szukać.

Jego płaszcz był zakurzony i obsmarowany, kapelusz zgubił w nocy, włosy były rozczochrane, nie umyte, nieuczesane, przechodziły go dreszcze, z obolałymi kończynami, rozbitą duszą. Z powodu przygnębienia nie mógł myśleć, o niczym nie marzył, był zupełnie obojętny, instynktownie dotarł do domu Manili, zadzwonił, jednak nic nie powiedział, gdy służąca podeszła do drzwi. Dała mu pieniążek i zatrzasnęła drzwi. Wtedy dopiero uświadomił sobie swoją sytuację, zadzwonił po raz drugi i oddając pieniądze spytał się o Manilę. Wtedy służąca powiedziała, że Manila wyjechała. Zamknęła drzwi cicho i z wstydliwie współczującym spojrzeniem.

Ogromnie obojętny Lampion poszedł na dworzec, odebrał swój bagaż, poczekał kilka godzin na pociąg i następnie pojechał do swoich rodziców. Bardzo się ucieszyli jego nagłym przyjazdem, stawiali pytania o wiele rzeczy, na które odpowiedział mechanicznie. Podali mu jego ulubione dania, które wziął bez podziękowania.

Kazali mu się wyspać, ile chciał, i nie pytali się o jego wewnętrzne problemy, nigdy nie mieli na to czasu.

Niekiedy potrząsali tylko siwymi głowami, ale nie przeszkadzali mu. W cichym poczuciu bezpieczeństwa, które go tutaj otaczało, stopniowo wracała do niego świadomość i wspomnienie o tym, co się stało. Leżał w swojej dawnej izbie i od trzeciej nocy, która spędził w domu, nie mógł spać. Księżyc zaglądał przez okna bez firanek i kładł się niczym śmiertelny całun w pokoju.

W swoim pomieszaniu Lampion budził się z krótkiego, głuchego snu i znużony opadał na poduszki, tak jakby białe światło go paraliżowało. Błyszczącymi oczami widział, ze nie było nikogo w pokoju, nie było także żołnierza, o którym właśnie mu się śniło, że płynął między bryłami lodu, wzywał pomocy i tonął.

Nie, dalsze oddawanie się marzeniom było tchórzostwem. Trzeba się było do tego przyznać, wszystko wydarzyło się tak, jak się wydarzyć musiało, gdyby można to było powtórzyć, nie zakończyłoby się to inaczej.

Stan rzeczy był taki, że on Lampion wyszedł z damą i został napadnięty. Nic nie zrobił przeciw temu napadowi, nie obronił swojej damy, co dalej? Jednak fizycznie nic się jej nie stało, napad przebiegł dość niewinnie, a swoją podopieczną odprowadził w stanie całym i zdrowym do domu. Nie można było więc nic powiedzieć przeciw niemu jak tylko to, że nie zachował się po dżentelmeńsku. A wiec raz jeszcze nie okazał się być dżentelmenem, co jeszcze stąd wynikało? Od tego świat by się nie zawalił, nawet gdyby fanatycy dżentelmeństwa źle ocenili jego zachowanie. Obrona kobiety byłaby w tym wypadku godna szaleńca. Obrona kobiety oznaczałaby w tym wypadku zażądanie wytłumaczenia się, ale przy pomocy ostrzejszych słów. Jednak oficer nie byłby Polakiem a na pewno nie byłby oficerem, gdyby później nie wyładował się tym bardziej pożądliwie na kobiecie.

I nawet jeśli ten człowiek był przy tym bardziej pożałowania godny, że musiał pod mundurem i przy swoich moralnych poglądach pędzić swoja egzystencję, to on, Lampion bardzo dobrze to rozumiał, on sam, w takiej samej sytuacji nie postąpiłby inaczej, byłby baranem, gdyby nie interweniował.

Obrona damy oznaczałaby w dalszym ciągu powalenie oficera, albo w otwartej walce albo z zasadzki. Kosztowało by to ludzkie życie i to co najmniej życie oficera. Byłby to jedynie pierwszy skutek, drugi polegałby na złośliwym procesie o morderstwo z pewnym jak w banku wyrokiem śmierci dla Lampiona i dożywotnim więzieniem dla Manili. Obrona jego kobiety oznaczałaby jako trzecia możliwość to, ze zamach się nie udał. Czy wtedy Lampion uszedłby z życiem czy nawet wyszedłby bez szwanku, było niemniej sprawą wątpliwą, obojętną. Co w takim wypadku stałoby się z Manilą, nie można było przewidzieć. Summa summarum osiągnął – jakby to nie wydawało się głupie – swoją pasywnością – najszczęśliwsze rozwiązania, które w ogóle były do osiągnięcia. Nie zachował się jak dżentelmen, na pewno, lecz w ten sposób uratował przynajmniej jedno życie. Nie zamordował, to tylko było całym jego przestępstwem, Kto chciałby mu zarzucić nie popełnienie morderstwa?

Niemniej, jeśli spojrzeć na sprawę od drugiej strony – a więc tylko rozumowo, Lampion miał prawo i koniecznie musiał sobie przyznać sprawiedliwość. A także oficerowi musiał przyznać słuszność, że on sam będąc oficerem nie mógłby inaczej postąpić. Gdy jednak próbował się wczuć w duszę Manili, która w końcu także uczestniczyła w tej dziwnej przygodzie, wtedy wszystko wyglądało o wiele inaczej Manila napisała do niego, ze chciała go zobaczyć i sama z siebie, jedynie z własnej woli napisała, bez jego zachęty. Należało docenić, jaką ofiarą i samozaparciem był taki czyn dla damy. Tylko dzięki temu był jej za to nieskończenie zobowiązany. Potem przyjechała do niego. Przyjechała, ponieważ go kochała. Ona sama przyjechała do niego, bo to nie on starał się o nią, jak mógłby o tym zapomnieć. Musiała uważać go za największego i najukochańszego ze wszystkich ludzi, gdyż kochała go. I to ona kochała. Musiała uważać go za najbardziej dzielnego z wszystkich mężczyzn, bo go kochała. I potem nagle po jednym dniu największej miłości i najwyższego szczęścia ta afera się wydarzyła, mężczyzna napadł na Manilę a on niedołęga Lampion, stal obok i patrzył nie ruszywszy małym palcem Gdyby oficer na jego

oczach zgwałcił Manilę, to on, Lampion, idiota, na pewno podobnie mało zrobiłby przeciwko temu. Nie, on Lampion zamordowałby oficera, na pewno, do kroćset jeszcze raz! Ale – czy naprawdę zabiłby go. Czy Manila po tym, co zaszło, nie musiała akurat myśleć odwrotnie? Na pewno musiałaby sądzić, że był idiotą. Niezmiernie musiała być nim rozczarowana, ponieważ go kochała.

To, że ją kochał, to, że byłaby mu warta choćby iskierki miłości, o tym nie będzie można w jej wypadku nawet w najmniejszym stopniu być mowy. A jednak zaczął ja teraz kochać w takiej bezmierności, z jaką jeszcze nigdy nie kochano. Wyrywał sobie włosy, rozbijał sobie twarz, walił po całym ciele pięściami, aż stękając zmów zapadał się w siebie. Ze swojego znużenia i bezgranicznej rozpaczy zaczynał się znowu usprawiedliwiać przed własnymi oskarżeniami: najlepiej byłoby tak, że to się wydarzyło, tak jak teraz było, było to najszczęśliwsze rozwiązanie, ona zechciałaby mu wybaczyć lub go potępić i nie chcieć już nigdy zobaczyć, nie robić nic, była jego jedyną możliwością.

Jednak zrazu musiał sobie znów powtórzyć, ze jego zarzuty były rozpaczliwie komicznym udawaniem jego maszynerii mózgowej, by usprawiedliwić w nim złego człowieka, uratować przed wewnętrzną sprawiedliwością, w którą wpadł. Jednak nie było usprawiedliwienia, ten zupełnie zły człowiek nie był wart tego, ze żył, precz z nim, dlaczego już dawno nie skończył z tą nieudaną egzystencją, z tym martwym pozornym życiem, które nazywał ja,! Szczęście, samo szczęście, szczęście w swojej najwspanialszej postaci przyszło do niego, do niego, to nie on walczył o nie, zmuszał, je zdobywał, nie, dobrowolnie, jak niespodziewany procent, szczęście przyszło do niego, a on Lampion, łotr, niedołęga, martwy, spoglądał na to, stojąc bezczynnie i patrzył, jak ktoś inny przyszedł i – i jak gdyby nic się nie stało - zabrał mu szczęście w żartobliwym nastroju spijając z niego i depcząc je nogami, wdeptując w pył, szczęście, wielkie, święte, jedyne szczęście wdeptał w kurz. Wszystkie ściany wykrzykiwały mu to w uszy, księżyc szyderczo doń się uśmiechał, a każdy szmer wtłaczał to w niego, coraz bardziej i bardziej i

grzmiało dookoła to martwe ja, które pozwoliło na to, że to wszystko mogło się stać i coraz bardziej rozum walczył ze swoją nędzną śmiesznością przeciwko temu, aż Lampion załamał się i nie mógł już wytrzymać męki piekielnej pomiędzy sercem i głową i chciał z tym skończyć, to skończyć i znów znużony śmiertelnie upadał. A tam był poranek w ślepych szybach, księżyc zrobił się bledszy, zaczerwieniły się chmury, sen przyszedł niczym inny rodzaj śmierci.

Dni były jednostajne, łagodne w głuchym i tępym przymusie konwencji i wychowania, mówiącego o tym, że nie ma się mówić o sobie a jedynie odpowiadać na pytania. I dni były samotnością w wielkich ciemnych lasach wokół małego miasta, były samotnością i męką. Jednak po nocach zaczynała się walka u utracone życie Lampiona od nowa i działo się coraz bardziej fantastycznie. A szczury, które przelatywały przez podwórze jak cienie i wchodziły na schody, a także można było posłuchać takich odgłosów jak męskie kroki, wkraczały do walki i straszyły Lampiona. A myszy w dziurach w rogach pokoi szeleściły i szydziły z Lampiona. A muchy w ślepych szybach i przy białych sufitach brzęczały i pogardzały Lampionem. A sprzęty w pokoju, martwe sprzęty i ściany pokoju i belki pod sieniami przybierały kształty szkieletów i wchodziły przed jego łóżko oskarżając Lampiona. I każda poszczególna kończyna i każdy pojedynczy por wychodził z ciała Lampiona i oskarżał. A noce nie chciały się skończyć i walka nie chciała się skończyć. Wtedy rozum w najbardziej niedorzecznej samoobronie składał się do ostatniego ciosu, a ten udawał się.

Co się stało, stało się i nie można już było tego zmienić. Musiało się tak zdarzyć, ponieważ gdyby drugi raz doprowadzony został do takiej sytuacji, to Lampion na pewno, to Lampion nawet o mały gest nie zachowałby się inaczej niż za pierwszym razem. Niemniej jaki wniosek należało stąd wyciągnąć?

Z tego blamażu, który nieuchronnie musiał skończyć się kompromitacją i niczym innym, można było wyciągnąć wniosek, że nie opłacało się żyć takim życiem, którego punkt kulminacyjny musiał być kompromitujący. Życie, którym

nie opłacało się żyć, należało odstawić. A więc należało wyciągnąć wniosek o konieczności popełnienia samobójstwa. Jednak czy może opłacało się być taką kobietą, jaką była Manila, cudowną, wspaniałą kobietą.? Pół godziny podczas napadu, który wymógł na niej kilka pocałunków i uczucie zawstydzenia, zniszczyło jej życie. Nigdy nie uwolni się w swojej cudownej duszy zupełnie od tej pół godziny. Czy to się opłacało? A więc należało wyciągnąć wniosek o tym, ze również i to życie nie było warte przeżycia i także należałoby się go pozbyć. Jeśli teraz Lampion byłby tym innym oficerem, nie skompromitowanym w tej aferze? Mała przyjemność, mdły ciąg dalszy, mizerota, blamaż przyjemności, nie wart, by go przeżyć. Dlaczego, po co było coś takiego i mogła coś takiego przeżyć? A inne, naprawdę szczęśliwe przypadki?

Był to punkt kulminacyjny tchórzostwa, marzycielstwa i obłędu Lampiona.

Niespokojny uniósł się z posłania, jeszcze nie nastał dzień, umył się, ubrał. Ktoś zapukał do jego drzwi. Przestraszony wzdrygnął się oczekując najgorszego. Po cichu jak do osoby chorej podszedł do niego ojciec; Lampion niemal zapomniał o istnieniu tego człowieka, chociaż już od roku i jednego dnia był przyzwyczajony do bycia z nim przez cały dzien. Ojciec spytał go, czy nie chciałby mu towarzyszyć w drodze do synagogi. Lampion skinął, że tak, poszli. Na rogach ulic przybito w nocy kartki z napisami: „Zabić Żydów!” Pokazywali sobie nawzajem plakaty i nic nie mówili. Tego dnia został zwołany wielki polski wiec, na rynku przed ratuszem trzech, czterech ludzi stawiało trybunę.

W małej synagodze zaczęło się już nabożeństwo. Pomiędzy śpiewem, mruczeniem i krzykami modlitw bojaźliwi ludzie, w większości staruszkowie szeptali do siebie słowa o tej nowinie. Prowadzący modlitwę trajkotał hebrajskie teksty szybciej niż zwykle, monotonnie jak katarynka brzmiał śpiew basów i tenorów. Podczas gdy Lampion rozmyślał, nie mógł swoim wargom przeszkodzić w mechanicznej wspólnej modlitwie, a zawsze, gdy sobie to uświadamiał, zakazywał sobie tego, przestraszony, tak jakby łapał się na jakimś

przestępstwie. W rzeczywistości zajadle walczył z hebrajskim bełkotem, który ci fanatyczni starowiercy ledwo rozumieli. Trzy czwarte godziny każdego poranka, kwadrans, każdego wieczoru, chwalono starego Jehowę, którego musieli także uważać za ostateczną przyczynę pogromów od czasów faraonów do Piłsudskiego. Ale dobrze, niech będzie, był to ich Bóg, była to ich zrobiona samodzielnie przez nich brzytwa, której musieli się trzymać we własnych zagadkach i strapieniach, nie byli w stanie, znaleźć sobie lepszego boga, niech będzie, jednak kiedy już modlili się do niego, to powinni byli czynić to przynajmniej z pasją. To mechaniczne odklepywanie budziło odrazę Lampiona. Dzisiaj byli w potrzebie, modlili się nie znajdując nawet serdecznych tonów, fuj do diabła! Spieszyli się tylko, aby wcześniej wrócić do domu.

Ale cóż to była już za opresja, w której ci tutaj się znajdowali, jego opresja była jedyną w tym mieście, w Lampionie gotowało się. I o ile zawsze jego dziadkowie wydawali mu się śmieszni, gdy z powodu najbardziej komicznych ambicji kłócili się między sobą, kto z nich bardziej cierpiał, to tutaj Lampion odebrał wszystkim innym prawo do skargi. W jego udręce opresja z utraconego honoru i ogólna opresja z tego powodu, że zawsze to Żyd musi być bity, bardzo źle się połączyły. Sobie samemu wydawał się męczennikiem narodowym. Potem znów musiał z tej próżności śmiać się gorzko od wewnątrz. Najmądrzejszą rzeczą było skończyć z tym wszystkim.

Gdy potem rodzinnie wracali do domu, krótko przed domem zaszło im drogę zataczając się trzech pijaków, którzy głośno podżegali przeciwko Żydom. Było to dwóch pijaków, prawdopodobnie bezrobotni polscy robotnicy. Wyszli im naprzeciw w trójkę: Lampion, który szedł po lewej stronie przy samym krawężniku, ojciec Lampiona, który był niewysokim, delikatnym panem, a dziadek Lampiona, który był potężny i krępy niczym Hun, szedł po prawej. W trójkę zajmowali cały chodnik, a gdy pijani podeszli bliżej wrzeszcząc, by żydowska banda zrobiła im miejsce, Lampion chciał już ustąpić z trotuaru. Jednak dziadek szedł odważnie i równo, czerwony ze złości na twarzy, a ojciec

nie ustąpił nawet o cal. Wtedy jeden z Polaków, który podszedł całkiem blisko, wzniósł swoja pięść przeciwko starszemu człowiekowi. Jednak ten, zanim drugi jeszcze uderzył, pchnął go silnie w pierś, tak że Polak zatoczył się do tyłu. Teraz jego kompani rzucili się na Żydów i rozpętała się prawdziwa bójka. Mieszkańcy sąsiednich domów gapili się zbudowani i podburzali okrzykami z okien i drzwi, Żydom nikt nie pomógł. Nie pokazał się żaden policjant. Jednak ku niewypowiedzianej irytacji gapiów, z których wszyscy byli dobrymi Polakami, trójka potrafiła się obronić przed pijakami, a udział Lampiona w tej walce, polegał jedynie na tym, by agresorowi, który chciał nagle uderzyć, wyjąć nóż skierowany przeciwko dziadkowi, po czym z tyłu mocno uderzyć go w czaszkę. Po tym wszystkim znów sam skrytykował się, także z tego powodu, że po raz kolejny jego bezczynne tchórzostwo wyszło na jaw. Gdy wreszcie pijacy parskając i mrucząc wycofali się, pośpieszono się z powrotem do domu. Tak okropnie zaczął się znów dzień. W domu milczano, nastrój był ponury i umówiono się co do tego, że dom pozostanie przez cały dzień zamknięty. Lampiona opadły myśli, wydawało mu się, że jest zamknięty w wiezieniu i mimo proszących spojrzeń rodziców wyszedł z domu biegnąc bez celu przez ulice.

Na rynku zebrał się tłum, składający się z wieluset osób, obywatele miejscy byli niemal w komplecie i dużo robotników z nowej fabryki wagonów kolejowych, którzy powrócili z wszystkich możliwych krajów do nowo-starej ojczyzny i którzy w najkorzystniejszych warunkach zostali zwerbowani przez państwo i nagle przed kilku dniami zostali zwolnieni oraz wielu chłopów z okolicznych wiosek. Panowało ogólne rozgoryczenie, gdyż państwo nie miało pieniędzy, a robotnicy pracy i żadnego wsparcia, inflacja przeżywała pierwsze bóle porodowe, do tego ogólna drożyzna. Na drewnianym podwyższeniu stał robotnik w czarnej wełnianej kurtce i czerwonym szaliku, z czapką w nieruchomej lewej ręce jak w kościele, podczas gdy jego prawica spod pulpitu wykonywała wielkie opisowe gesty; można było po jego zachowaniu zauważyć

szkołę oratorstwa politycznego, jednak jego słowa były bardzo płomienne i dzięki instynktowi skuteczne. Ludzie słuchali w napięciu, byli zupełnie świadomi sprawy i gdy Lampion przeciskał się między nim, przepuścili go do pierwszych rzędów nie zwracając na nań uwagi.

Mówca wziął krotka przerwę na oddech i zaczął zaraz z całą siłą bić prosto w cel, przy którym przedtem dyplomatycznie się zakręcił. „Pięć tysięcy robotników stoi dzisiaj tutaj bez pracy i bez pieniędzy! Kto jest temu winien? Żydzi!" Pięć tysięcy robotników nie może dzisiaj za wielkie pieniądze z wypłaty, którą otrzymali wczoraj, już nic więcej kupić. Kto jest temu winny? Żydzi! Kto jedynie żyje i zarabia pieniądze? Żydzi! Na czym Żydzi zbijają swój międzynarodowy kapitał?. Ludzie, Żydzi wypijają z was krew! Ludzie, wszystkiemu winni są Żydzi! - I zaczął wykładać swój fanatyczny katechizm, po kolei wywlekając każde włókno ogólnego kryzysu na światło, tak że w końcu cała wspólnota wrzeszczała wspólnie refren „Żydzi!"

Po tym na trybunę wszedł starszy duchowny, którego wszyscy miejscowi znali a wokół zapanowała pełna uszanowania cisza. Jednak gdy duchowny zaczął napominać ich jak dzieci i gorąco polecać, aby zachowali się spokojnie i po chrześcijańsku i nie wierzyli w bajdurzenia o okrucieństwie żydowskich współobywateli, gdy pragnął w ten sposób sprowadzić owieczki na właściwą drogę, to robotnicy wymyślili wtedy kpiący rym mówiący o tym, żeby lepiej pozostał w kościele, a wtedy wzburzenie tłumu osiągnęło swój punkt szczytowy. Doszło do tego, że pochód mógł atakować domy żydowskie i tam mordować i plądrować bez ochrony uzbrojonej policji, która byłaby w stanie położyć temu tamę. Zakrzyczano duchownego, aż ten potrząsając swoją siwą głową zszedł z trybuny ze spuszczonym wzrokiem. Czego jednak nie osiągnął duchowny w sutannie ze swoim nawoływaniem do łagodności, tego dokonał próżny chłopek, który zmienił go w przemawianiu, wskutek swojej niezręczności. Ten chłop zaczął mówić o Bogu i świecie, jednak zanim doszedł do kwestii żydowskiej, zaciął się i zszedł zawstydzony z trybuny. Teraz został przekroczony

niebezpieczny moment, początkowo nie wiedziano, kto będzie przemawiał i co się może jeszcze zdarzyć, Jednak nastroje uspokoiły się dzięki temu, że znajomi witali się ze sobą, pytali o żony, dzieci i bydło, a podburzali dalej jedynie robotnicy w swoich rozproszonych po całym placu grupach.

Wtedy Lampion z determinacją wszedł na podium, a ogólna bojowa uwaga odwróciła się w jego stronę tym szybciej, że od samego początku oświadczył, że jest Żydem. W głośnych i wzruszonych wewnętrznie słowach opisał im ich położenie i ich punkt widzenia, podczas przemówienia przerywali mu tylko krótkim okrzykami. Jak powiedział, powodziło im się niezbyt dobrze, było źle, żadnej pracy, żadnego chleba, drożyzna, istotnie nie opłacało się żyć. Nie zależało to jednak w żaden sposób od dobrego Boga i słusznie wygwizdali księdza, nie ma Boga, tego jednak który kiedyś był, zdążyli ukrzyżować na czas. To Żydzi ukrzyżowali chrześcijaństwo, nie oni? No, wychodzi na to samo, również Żydzi nie mają się lepiej i także ich życie nie opłaca się, jego życie, wolał z rozmarzonymi oczami głośno przed siebie, podczas gdy w tłumie pojawił się niepokój. A gawiedź głośno i niebezpiecznie tłoczyła się coraz bliżej w kierunku trybuny, podczas gdy przez tłum przedzierała się grupka wściekłych robotników i torowała sobie drogę. Lampion chciał całe swoje życie odrzucić jak zbutwiałą szatę i to miał być jedyny i ogólny ratunek, zrobiło mu się czerwono przed oczami, odrzucenie własnego życia to ratunek, chciałby pokazać im wyjście z tej opresji, powinni byli sami pomordować się, wszyscy powinni się pomordować, powinni umrzeć jako samobójcy! Tymczasem sto pięści biło już w Lampiona, toteż upadł nieprzytomny.

Dwadzieścia metrów dalej żaden człowiek nie widział tego, co zdarzyło się na podium, dziwne i niepokojące plotki krążyły po placu i po kwadransie na całym placu zrobiło się pusto. Dwóch policjantów zaniosło Lampiona do domu. Niedziela ta miała czarne zakończenie.

Niektóre gazety rozkolportowały to wydarzenie zniekształcając jego treść. Napisały, że Lampion zmarł.

We wtorek, gdy matka rano budziła służącą, rozległo się głuche pukanie do drzwi. Wszyscy podskoczyli. Ojciec narzucił płaszcz i otworzył. Jakaś dama pozdrowiła go skąpymi słowami. Była to Manila. Z milczącą determinacją, przyjmowaną wobec żałobników, wyszła przed niego i szlochając rzuciła się matce na szyję: „Niech pani pozwoli mi jeszcze raz go zobaczyć. Kochałam go tak samo jak pani, a nawet bardziej, o wiele bardziej!" Oniemiała matka z wielkimi oczami stała przed nią nie mogąc zrozumieć obcej osoby. Nagle Manila przestała płakać, spojrzała od jednej osoby do drugiej, rozglądnęła się w pokoju i poszła dalej mrucząc ponuro tylko jedno słowo „Wiedziałam, że to już za późno", nie roniąc łez, w bólu najbardziej ołowianego tragizmu. Rodzice patrzyli na nią jak za zjawę i jej nie pojmowali. Manila wyszła, myśląc przez całe swoje trudne życie, że Lampion zmarł i został pochowany.

Gdy po wielu tygodniach wrócił znów do siebie krążył dookoła jak we śnie. Rano matka przyniosła mu śniadanie do łóżka, a potem gdy wstał, dziecko wzięło go za rękę, a Lampion chętnie dał się poprowadzić. Dziecko było jego pięcioletnią siostrzyczką, zaprowadziła je do lasu i usiadła na jego skraju pod brzozami w słońcu. Wtedy także znużony drogą Lampion usiadł i dał się oblać ciepłym światłem. Siostrzyczka bardzo po matczynemu wypakowała chleb i dała mu go do zjedzenia. Potem pobiegła dalej zerwawszy dla niego wszystkie anemony, które kwitły dookoła w kręgu i czasem także ciemnoniebieskie konwalie leśne oraz żółte, nakrapiane na niebiesko, dzikie bratki, które miło i z gracją tronowały na długich łodygach. Dorosły chory brat położył się potem i patrzył w niebo, skowronki śpiewały, wróble robiły na pobliskim polu ziemniaków wesoły hałas, i raz po raz dźwięczał radosny, daleki wystrzał z broni myśliwskiej w wiecznym szumie drzew. Wielki gnojowiec w czarno-niebieskiej błyszczącej szacie pełzł sobie nad palcami Lampiona, pszczoła brzęczała uprzejmie ojcowskim basem wokół kwiatostanu: była wiosna, była wiosna…

O nic nie pytano Lampiona, a on nie musiał odpowiadać. Żył w ciszy dla siebie, tylko dla słońca i dla błogiego zmęczenia. Nauczył się znów chodzić jak małe dziecko i chodził i wędrował każdego dnia kawałek dalej. Jednego dnia wyszedł i nie wrócił do domu. Wszędzie była wiosna. Nigdzie nie było ludzi. Wszystko w Lampionie rosło, jego pierś rozszerzyła się od wewnątrz, czaszka stała się wyższa. Wszystko traciło ważność przed jego oczami i nic nie było wszystkim. Miał skrzypce i nagle mógł wodzić po nich smyczkiem i grał każdej nocy. Utracił zupełnie swojego Boga, a znalazł tysiąc małych bożków. Widział wsie, drogi i strumyczki i biegł jak bąk, bez pejcza, bez znaczenia i celu. Tak jakby swoja duszę zostawił w domu.

Rozdzial III

Lampion szedł i śpiewał, ale nie dotarł daleko. W następnym miasteczku, zaraz po tym jak do niego wszedł, podeszło do niego dwóch mężczyzn wzywając go, by im towarzyszył. Bowiem gdyby nie chciał im dobrowolnie towarzyszyć, to mieli zlecenie, pełnomocnictwo i nagrodę od jego ojca i policji, aby użyć siły. Dał się więc przywieźć dwie stacje koleją, potem znalazł się już znów w domu.

Teraz już nie śpiewał i nie bawił się. Pozwolono mu spać a następnego poranka jego ojciec posadził go na krześle naprzeciwko siebie i wygłosił do niego małe przemówienie; „Nie wiem, co ci dolega. Mam nadzieje i życzę sobie, żebyś i ty także tego nie wiedział. Jeśli jednak to wiesz, nie musisz mi tego powiedzieć, jeśli twoja tajemnica cię nie uwiera. W to, że ci cos polega, w to niestety nie wątpię, nie mam jednak wcale zamiaru wykurować ciebie siłą i przymusem. Sadzę, że powinieneś być sam i dojść do siebie, potem będziesz znów zdrowy. Proponuję ci więc, abyś znów pojechał do Monachium i dalej studiował. Jeśli jednak nie uznasz tego za właściwe, to możesz zarówno wyjechać jak i pozostać tutaj. Co o tym sądzisz?”

Lampion zadziwił się, jak dobrotliwy i przezorny był ten niewielki pan, który go spłodził. Opieszały i zmęczony podziękował za dyskretne zainteresowanie sobą i zgodził się w kilku słowach na powrót do Monachium. Wtedy ojciec powiedział, trochę z próżności i pozy a Lampion z pewnością nie oczekiwał niczego innego jak tej decyzji. Lampion mógł korzystać z weksli miesięcznych w podobnej wysokości jak w poprzednim semestrze; gdyby

potrzebował więcej, mógł liczyć w każdym momencie na otwartą kieszeń. No to, kiedy chciałby wyjechać?

Dzisiaj wieczorem. Walizki zostały zapakowane, postarano się o dokumenty i o bilet. Mama płakała przy pożegnaniu tak uporczywie i po cichu, ze ojciec nie pozwolił jej, odprowadzić chłopca na dworzec. Skutkiem tego, mała siostrzyczka była zupełnie zmieszana i robiła wielkie oczy.

Obładowani walizami młody chłopiec i stary ojciec szli teraz wielkimi krokami na dworzec. Pociąg stał już w hali dworcowej, gdy wchodzili na peron. Zapadał zmrok.

Lampion był bardzo nieobecny. Wyglądnął z okna przedziału: jakże niewielki i wątły był ten człowiek stojący na dole! On, Lampion miałby więc za dwadzieścia lat wyglądać tak samo? Nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Napisz tylko wkrótce po przyjeździe.

Potem pociąg pojechał. Lampion drżał z zimna. Wtulił się jak muszla w kąt. Przykrył się swoimi dwoma płaszczami. Położył sobie torebkę na kolana. Ciągle jeszcze miał dreszcze. Powoli uśpił go regularny rytm kół. Był jedynym pasażerem w przedziale. Wstrząs, pociąg stanął. „Poznań” krzyczano na zewnątrz. Dlaczego tak krzyczą, pomyślał Lampion, jeszcze w półśnie. Ach, to pierwsza stacja. Poznań? Było to najokropniejsze miasto na ziemi. Należało je spalić, przemknęło mu przez głowę. Dalej. Dalej.

Znów zasnął. Spał ciężko bez snów. Znowu szarpnięcie, znów stacja, granica. Lampion się obudził i natychmiast zasnął.

Halo, proszę pana, proszę wstać do kontroli paszportowej. Mechanicznie, wszystko samo się załatwiło, przybito stemple, oklejono walizki, niczego nie szukano i niczego nie znaleziono.

Gdy chciał znów wsiadać, zagadnął go jakiś człowiek o ogień. Był to niemiecki maszynista parowozu. Wywiązała się rozmowa. Mieli odjechać za dziesięć minut. Lampion dał mu papierosa. Chciał się go pozbyć. Z pełną wewnętrzna obojętnością Lampion dosiadł bestii, która miało wieźć jego, jego i

tysiąc innych. Każdego dnia tysiąc innych, jak by to nie było. Pozostał w kabinie, gdy potem zaczęła się podróż. A tłoki załomotały w kołach, dudniło, gdy palacze nakładali węgiel, parskająca sprężona para krzyczała i gwizdała w rurach i męczyła się sapiąc i pchając maszynę w noc. I ciągle wzlatywały snopy iskier, płonące kawałki węgla jak z wulkanu.

I ciągle Lampion myślał: po co ten teatr żywiołów, po co to wszystko? Gdyby nie było wszystkich tych huczących rzeczy, w życiu nie byłoby nic innego. Tylko denerwowano się tym hałasem i nic nie istniało, co odpowiadałoby tej krzątaninie maszyn. Na następnej stacji Lampion powrócił do swojego przedziału.

Jechali w kierunku zachodnim. Noc zrobiła się szara. Po łąkach snuła się wieczorna mgiełka. Kominy fabryczne w czepiały się w horyzont, dalej, dalej. Rzeka była zupełnie czarna, wody, ciągle nowe wody gnuśnie się toczyły0, bez fal pod dudniącym mostem, Dalej, dalej. Lasy, sosny, brzozy, wrażliwe na uderzenia wiatru, dalej, dalej. Mizerne domy przycupnięte przy nasypie kolejowym, dalej, dalej. Potem jednak szyny rozeszły się i rozgałęziły się od nowa, nadleciał Berlin, Berlin jak sto miast. Hamulce wsunęły się we wrzeszczące żelazo, czarna tytaniczna hala, pociąg zatrzymał się i stał jak zwierzę, raczej gotowy ślizgać się do tyłu niż dać się porwać do dalszego biegu.

Potem przyszedł na pół dnia Berlin, zmęczony szał ruchu ulicznego i ludzi. Jak kukiełki na drutach wydawali mu się, ludzie, jak wielkie, ożywione przez widma, kamienne szare miasto grobów – Berlin.

Potem siedział znów w rogu swojego przedziału kolejowego. Góry wyłaniały się z mgieł a dudniące tunele tłumiły światło, a doliny zakręcały się i ryły w górskiej skale. A szczyty piętrzyły się niżej a Lampion patrzył i patrzył, aż zaczęło się środkowe pogórze i przejechano połowę drogi, tę trudniejszą. I wychylił się daleko z okna i ujrzał rosnące góry i zobaczył je blednąc tak jakby musiał przekopać się przez nie swoimi własnymi, łamiącymi się paznokciami i usłyszał, jak pasażerowie i subiekci rozmawiali o klęsce braku nasion a

żydowscy spekulanci plotkowali i pachniało zwietrzałym, martwym wyziewem wyżarzonych fajek, patrzył i patrzył. A rytm wyjazdu tkwił tak bardzo w jego kończynach, że niemal nie mógł myśleć przed spotkaniem nieznanego świata, a każdy sens w rozmyślaniach był rozpaczą, co na mnie tam czeka?

W Monachium znalazł swój stary pokój niezamieszkany, stara gospodyni zrobiła się jeszcze bardziej gadatliwa. Lampion znów immatrykulował się i żył mechanicznie z dnia na dzień. Bał się rozmyślań i był zbyt flegmatyczny, aby stworzyć sobie okazje do ruchu. Wałęsał się przez cały dzień po ulicach a wieczorami czytał powieści. Jednak w końcu zebrał siły. Już naprawdę nie mógł wytrzymać w tej cichej, tchórzliwej ucieczce przed sobą samym. Tego, co się stało, nie można było zmienić. Jeśli można to było odpokutować śmiercią, to jednak okazało się, że nie był w stanie zebrać niezbędnej do tego odwagi. Jak by się od tego nie wykręcał przed samym sobą, nie miało to nic wspólnego z umieraniem, trzeba było to wyznać otwarcie i uczciwie. Trzeba więc trzeba było żyć dalej, ale trzeba było żyć dalej z wolą i świadomością, trzeba było zacząć nowe życie.

Chodziło więc o to, aby dotrzeć do tej woli i wiedzy, najpierw dlatego, że podobnie jak w przypadku kampanii wojskowej trzeba było zlustrować materiał bojowy, a ze swoich duchowych pasywów i aktywów utworzyć bilans, potem trzeba było zestawić ze sobą i przejrzeć aktywa i można już było nimi dysponować.

Kobieta nie mogła być w żadnym razie fundamentem nowego życia. Ta jedna, której szukał, była dla niego stracona na zawsze. Szukanie nowej było tak godziwe i ryzykowne, co zawstydzające, było bez charakteru. Oprócz tego na pewno nie miałby szczęścia, a gdyby je nawet miał, odrzuciłby je i podeptał nogami. W swoich oczach nie był wart żadnej kobiety, i należało to sobie wybić z głowy. Trzeba było mieć jasną głowę i czyste serce na nowy początek, w przeciwnym wypadku nie miało to sensu.

Jednak gdy Lampion szukał w dalszym ciągu aktywów, zrobił się tylko porywczy i zły na swoje wnętrze w spokojnym rozważaniu wymusił na sobie wyznanie, że nie mieściło się w nim nic pozytywnego, dla czego opłacałoby się świadome życie. Trzeba było więc z niczego stworzyć świat, tak jak uczynił to dobry Bóg. Ale o ile bardzo mu pochlebiało, że mógłby zostać małym, dobrym bogiem, o tyle odpychał się jednak od tego zaraz rozumiejąc próżność takiego porównania. Nic było nonsensem, że z niczego nie mogło nic powstać. Dlaczego jednak nie zacząć i nie spróbować, nie uczynić brzemiennym i nie zapłodnić samym sobą, aż pękną i urodzą się nowe aktywa? Była to jedyna droga.

Największym debetem i martwym punktem w życiu Lampiona była afera z Manilą i polskim oficerem. Czy wstrętny charakter tej afery – znajdował się w nim, w Lampionie? Nie, na pewno nie, jeśli oglądało się ją z punktu widzenia całego życia, jego całokształtu i koniecznie, jeśli się traktowało Lampiona, za jedyną ofiarę, jako ofiarę siebie samego. Tego jednak nie można było zrobić, nie wolno było tego zrobić w żadnym przypadku. Rozchodziło się zawsze i w ogóle o ogólną całość, a więc sprawa miała się tak, że zdarzały się tysiące podobnych lub cięższych upokorzeń i codziennie zdarzało się tak, że w tym kraju osobami upokarzanymi byli Żydzi a dręczycielami zawsze Polacy. Chodziło o potajemną wojnę Polaków z Żydami. To, że w tym swoim przypadku Lampion zachował się osobiście w sposób tchórzliwy, było sprawą prywatną, która nie obchodziła żadnego innego człowieka niż jego, był to prywatny grzech, który dostatecznie odpokutował w ten sposób, że stracił wskutek niego Manilę. A więc sprawa poboczna, która nie odgrywała żadnej roli w wielkiej kwestii, która została odpokutowana, pokonana, przezwyciężona i załatwiona i taką powinna była zostać, precz z nią!

Wielki martwy punkt w życiu Lampiona oznaczał zatem w odniesieniu do wszystkiego, co jeszcze nastąpi: jesteś Żydem, to twoje nieszczęście, jesteś Żydem, to twój los. Odrzucić siebie, halo, to nie ma sensu, po co się nad tym zastanawiasz, tchórzu, nie jest to możliwe, tysiące litrów wód chrzcielnych nie

domyją krzywych nosów twojego oblicza i twojej duszy, jesteś Żydem i nim zostaniesz, a jeśli nie masz odwagi, aby przyznać się do swojego nosa i do twoich rodziców i braci na całym świecie, wtedy nie zaczynaj nowego życia, lecz powieś, zastrzel, utop się. Jednak na to się nie odważysz i także to nie będzie właściwą rzeczą, pozostań przy życiu, Żydzie, bądź Żydem, równym chłopem, bądź rdzennym Żydem, bądź nim w całości, równym żydowskim gościem!

Polacy prowadzą potajemna wojnę z Żydami? No, to Polacy nigdy nie przestaną prowadzić wojny, gdyż oni także boją się naszych czarnych mądrych głów! Jak by to jednak było, gdyby z potajemnej wojny zrobić otwartą i uczciwą wojnę, w końcu przyjąć wypowiedzenie wojny i odpowiedzieć na nią, halo, tak, tutaj stoimy i walczymy i bronimy się, bijemy się aż do momentu, gdy ostatni wojownik zdechnie, a kto pozostanie przy życiu, ma oto prawo do życia!

Nie to była szaleńcza idea, to było zupełnie niemożliwe, zamknięto by go w szpitalu dla obłąkanych, jeśli by to głośno powiedział, na miłość boską, niewielu by za nim podążyło, gdyby zaiste doszło do takiej walki i gdyby potraktowali go poważnie, nie, to było niemożliwe, głupio to pomyślałeś Lampionie. A gdyby wszyscy poszli za tobą, wszyscy polscy Żydzi, to jeszcze tak czy owak byłoby was trzech ludzi na sto. Niczego nie da się zrobić przeciw statystyce.

Nie, w takiej wojnie, która oprócz tego nie zdałaby się na nic, ponieważ wojna zawsze jest nieszczęściem, dla wszystkich jest nieszczęściem, takiej wojny nie można było przerwać a w takim pokoju, który był potajemną wojną, także nie można było dłużej trwać. Pozostawał więc tylko jeden sposób, emigracja. Niedużo więcej Lampion wiedział o tym dążeniu, które nazywane było syjonizmem niż właśnie to: Żydzi mieli wyemigrować i to do Palestyny. Była to dobra propozycja, ponieważ w kolonii czarnych włosów i krzywych nosów nie byłoby na pewno żadnych pogromów i polskich oficerów, lecz samemu byłoby się zawsze panem i oficerem. To, że celem emigracji koniecznie

musiała być Palestyna, wprawdzie tego Lampion był w stanie do końca zrozumieć, gdyż nie miał zamiaru modlenia się do Boga, w którego nie wierzył, koniecznie tam, gdzie to czyniło za Króla Ćwieczka kilku przodków, a on nie pamiętał już tych półazjatyckich prekursorów sprzed dwóch tysięcy lat, - mógł więc to być ten lub tamten kraj, ten był mało zaludniony i posiadał sporo możliwości. Należałoby przestudiować prognozy emigracyjne i następnie oddać się całości i namiętnie w służbę tej sprawy.

Na pewno sprawa ta była podobnie heroiczna jak wojna, dobrowolnie i świadomie jedno pokolenie musiałoby się poświęcić, żeby ich dzieci mogły zebrać plony. Również Lampion był z góry gotowy na ofiarowanie się dla dobra przyszłych pokoleń. Jednak tutaj nie można było wyróżnić się podobnie jak na wojnie w krótkich epizodach na wysuniętym posterunku przez śmierć bohaterską w skrajnych niebezpieczeństwach i ryzykach, lecz niezbędny było ciche, uporczywe i żmudne bohaterstwo, nie męstwo w bezpośrednim ataku na cel, które ukochałby jako nagłe przejście z tchórzostwa, które okazał, w najbardziej szaleńcze przeciwieństwo, lecz praca, praca, praca.

Do takiej pracy Lampion się przygotował studiując teoretyczne podstawy przygotowywanej imigracji i migracji, statystyki i geografii, botaniki i ekonomię, kupował potrzebne ksiażki i abonował syjonistyczne gazety. Czytał biblię i dawne żydowskie historie, wczuwał się w nie głęboko gwałtowanie i bez oglądania.

Czym był, jeśli nie był Żydem, a jeśli był, to chciał przynajmniej być nim zupełnie! Kraj, z którego pochodził, nazywał się Polska, a więc Lampion nie mógł być Niemcem. Być Polakiem, przeciwko temu opierał się z całą siłą, nic nie było mu bardziej znienawidzone, niż ten naród. Musiał jednak należeć do jakiegoś narodu i jakąś małą ojczyznę należało posiadać. Był bez swojej prywatnej ojczyzny, w nieograniczony sposób bez ojczyzny, a wiec musiał sobie stworzyć strony ojczyste. Palestyna byłaby jego ojczyzną, byłaby ojczyzną dla Żydów. Czy należało nie mieć ojczyzny? I czy jakiś kraj mógł w ogóle stać się

ojczyzną? Czy ojczyzna nie musiała być czymś, co było zawsze od samego początku? I czy trzeba było w ogóle należeć do jakiegoś narodu? Być może były to przesądy. Na pewno istniał naród żydowski w Polsce, jednak on do niego nie należał, nie praktykował ani ich zwyczajów religijnych, ani nie mówił ich językiem. Tysiące wątpliwości zakłócały mu z kolei myśli o wyjeździe z Europy. Tysiąc faktów dochodziło z zewnątrz do tego, potęgując jeszcze wątpliwości.

Nie chciał, aby pojawiały się wątpliwości. Chciał usłyszeć innych ludzi, którzy to, co mu się wydawało do zakwestionowania, fanatycznie wierzyli. Poszedł na zebrania stowarzyszenia syjonistycznego i słuchał uroczystej mowy wspomnieniowej o Theodorze Herzlu. Te mowę mógł jednak równie dobrze samemu wygłosić, dlatego Lampion czekał, aż się skończyła, aby potem z osobistej rozmowy w cztery oczy dowiadywać się coraz więcej interesujących go rzeczy. Jednak to nie było możliwe, gdyż po przemówieniu nastąpiło spotkanie towarzyskie, podczas którego nie wolno było rozmawiać na tematy polityczne, o tym powiedział ktoś w rodzaju konferansjera.

Była również potańcówka i Lampion tańczył z ładną, czarną, Żydówką pełnej krwi. Przycisnęła się ciasno do niego przepraszając wielokrotnie, ze nie za bardzo umie tańczyć. Jej ojciec rzadko pozwalał jej na wyjścia, był nadzwyczaj pobożnym, wschodnim Żydem starego autoramentu.

Lampion uznał, że jej głos miał zachwycający dźwięk. Poza tym mówiła w dialekcie, który był osobliwy i którego słuchanie było komiczne, była to mieszanka jiddisch i dialektu monachijskiego. Przyciskała się w tańcu do niego i zauważył, że się jej podobał. Odczuwal pewną próżność przy tym uczuciu, ponieważ wewnętrznie był zupełnie nie zainteresowany. Gdy sądził, ze będzie musiał odprowadzić ja do domu, zjawił się we właściwym czasie jej brat. Powiedziała mu do ucha swój adres i pożegnała się.

Wtedy wyszedł także Lampion. Przez dwie godziny jego myśli były przerwane, ergo musiał później pójść spać i nadrobić konsekwencje swoich

wątpliwości w nocy. Jeśli nie będzie konsekwentny i nieustępliwy wobec siebie, wszystko nie miało sensu, tak przykazywał sobie surowo w drodze do domu. Ledwie tylko zasiadł znów przed swoim biurkiem, w połowie już spal. Walka z natura jest mało ekonomiczna, usprawiedliwił się i położył do łóżka. Po takim urozmaiceniu spał tak zdrowo, jak już dawno nie spał.

Następnego poranka spotkał dziewczynę, po tym jak dopiero co wyszedł z domu. Była zaskoczona i radosna, nie miała wprawdzie wcale czasu, był szabas a jej ojciec miał wkrótce przyjść z synagogi. Jednak po południu, jeśli chciał, będzie o pół do czwartej na przystanku Sendlinger Torplatz. Gdy o pół do czwartej – do tamtego czasu spacerował – stał na przystanku nie było widać panny. Za trzy kwadranse na czwartą skręciła za rogiem. Gdy skręcała w jego stronę oddalona zaledwie o osiem metrów pomyślał: poczekaj, ja cię nauczę punktualności i w mało wiadomym nastroju wskoczył do odjeżdżającego tramwaju. Na następnej stacji było mu już znowu przykro i wysiadł. W drodze powrotnej pomyślał: jeśli teraz przyjdę, jestem skompromitowany, obojętnie, czy ja spotkam, czy nie, i spacerował po ulicach. O godzinie piątej był już w wątpliwej bliskości przystanku, wtedy powiedział sobie: teraz mogę już spokojnie przejść obok, jeśli jeszcze będzie, to ona jest skompromitowana, ale to nie jest możliwe. A jeśli jej nie będzie, to nadłożenie drogi nic mi nie szkodzi. Mimo to potajemnie żywiona nadziej spełniła się, panna Hella siedziała niedaleko przystanku na ławce przy Sendlinger Torplatz i przywitali się ostrożnie nie wspominając o tym, co zdarzyło się wcześniej.

I oto wyszli z miasta przechodząc przez opuszczone tereny do doliny Izary. Na drugim moście mówili już do siebie na ty. Zachwyciło to Lampiona, gdyż wiedział, że Hella była zupełnie niewinną dziewczyną a on był niemniej niewinny, zachwyciło go to i zachęciło do kontynuowania sprawy. Czarna pełnokrwista dziewczyna w moralnej surowości wychowania ojcowskiego już zbyt długo czekała na pierwszego mężczyznę i na trzecim moście objęli się i pocałowali po raz pierwszy.

Za czwartym mostem położyli się na trawę i wśród najbardziej pieszczotliwych słów Lampion chwycił ją za piersi i pocałował je i wśród gruchającego śmiechu dziewczyna broniła się tylko dla pozoru. Zrobiło się późno i ciemno, wtedy Lampion powiedział: poczekaj, chcę ja postraszyć, wziął ja za biodra i obiecał, że jej cos powie do ucha. Chętnie podała mu swoją ciemną głowę i pocałował ją językiem w małżowinę uszną. Hella zapytała go, niepewna i nieświadomie pożądliwa: czy to wszystko, co mi chciałeś powiedzieć? Nie, to nie wszystko, chodź. I podała mu drżąca ciemna głowę i ugryzł ja w płatek uszny, tak ze z białej skóry wypłynęła jej ciemna, czerwona kropla. Hella spytała go, jeszcze bardziej niepewna i krzywiąc twarz w małym, rozkosznym bólu: czy to wszystko, co mi chciałeś powiedzieć? Nie to jeszcze nie wszystko, chodź! I złośliwie zasyczał jej do ucha: cóż by powiedział twój ojciec, gdyby stał tutaj za krzakiem leszczyny? Wtem Hella zaczęła płakać,

Wtedy Lampion pożałował tego, co jej wyrządził i żebrał i przepraszał ja z tak serdeczną żarliwością, jak gdyby rzeczywiście ja kochał. Chętnie mu wybaczyła, i gdy wyszli w drogę powrotną do domu, to nawet wzięła go pod rękę. Ale wesoły i zmysłowo naładowany, swawolny nastrój, w którym poprzednio byli, zatracił się, i gdy szli, to można było ich łatwo wziąć za dwóch starych kalekich małżonków. Długo, jeszcze przed jej domem, musiała się z nim pożegnać, aby nikt jej nie zobaczył, i umówiła się z nim na następny szabas.

Na swoim stoliku Lampion znalazł zaproszenie od „Stowarzyszenia Wschodnich Żydów” . Wprawdzie było już późno, ale dlaczego by nie pójść. Na początku Lampion nudził się nadzwyczajnie, nagle powitał go dalszy znajomy, pociągnął go w wielki krąg gwałtowanie gestykulujących i mówiących starszych panów i przedstawił go. Wkrótce Lampion uwikłał się we wzburzoną debatę na temat legionu żydowskiego.

„Każdy sprawiedliwy Żyd”, krzyczał jeden z mężczyzn, „ten czuje się dostatecznie ciężko ukarany przez Boga, jeśli musi być żołnierzem w polskim wojsku. Ale przeciwko temu niewiele można zrobić. Żyd nie urodził się dla

szabli i strzelby, obojętnie w czyim interesie jest konflikt! I dlatego legion żydowski jest zbrodnią przeciwko Talmudowi i Torze a poza tym to szaleństwo!”

„Przepraszam”, uniósł się Lampion, „Polacy i Arabowie bija, mordują i okradają nas. Jeśli będziemy mieli naszą własna broń i żołnierzy, Polak i Arab zaczną się bać i nie będzie już żadnych pogromów. Jeśli tutaj powstanie żydowski legion”, wykrzykiwał z entuzjazmem, „to będę pierwszym, który do niego przystąpi!”

„Panie Lampion”, poklepał go jakiś pan po plecach, „pan mi się podoba. Czy nie mówię zawsze do mojego syna: możesz zostać każdym, tylko nie tchórzem!?” Wziął Lampiona pod rękę i zaprowadził go do pustego stołu. „Niech pan siada, Chcę z panem porozmawiać. A pan, panie starszy, niech pan przyniesie panu szklankę wody, tak z cytryną? Widziałem przecież, ze ma pan prawdziwie rosyjski smak, czułem to. Wie pan, nie mogę zrozumieć, jak można pić herbatę z mlekiem. Ale my dwaj mamy dokładnie ten sam gust i będziemy się już rozumieć, powiem, przecież jeszcze nigdy nie myliłem się co do człowieka. Nie musi mi pan w ogóle nic odpowiadać i mówić. Jestem doskonale zorientowany. Jest pan studentem i pan mi się podoba, pochodzi pan z dobrego, a nawet z bardzo przyzwoitego domu. Pana pradziadek był rabinem w Obrzycku, czy mam rację? A pana dziadek ze strony ojca, na Boga, jeśli się nie mylę, sądzę, że chodziliśmy razem do szkoły. On umiał zawsze tak szybko biegać, gdy cos zmalował, a ja otrzymywałem lanie. Czy jeszcze żyje, nieborak? A więc dokładnie dowiedziałem się na pana temat. Już tak dawno mi się pan podoba: w więc: krótko i zwięźle, dlaczego chce pan studiować? Jeszcze rok, jeszcze dwa lata, jaki to wszystko ma cel? Jest pan dostatecznie mądry i wystarczająco stary: mój stryj nieboszczyk ożenił się w wieku piętnastu lat a jakie bogactwo osiągnął! Jedna czwarta jego majątku wystarczyłaby za na zawsze do życia. A więc chcę panu zrobić propozycję.. Niech pan zostawi profesorów i pajaców ze wstążkami, i piwoszy, niech studiują sami, otworzę dla

pana sklep na Marienplatz, wynająłem już pomieszczenie a materiały dostarczę panu gratis i franko, wielkie okno wystawowe pełne i regały, a ożeni się pan z moja córką. Nie może się panu przydarzyć większe szczęście, sklep, mówię panu, sklep, jakiego sam Rothschild nie mógłby mieć lepszego, w swoim czasie, i córka, którą pan otrzyma, jest piękna i młoda., nie widziała jeszcze mężczyzny, gdzie obecnie spotka pan cos takiego? Wszystkie dziesięć palców polizałbym sobie za dziewczyną, gdyby nie była moją córką. A wiec niech mi pan poda dłoń i powie 'tak' i kiedy ma być wesele?'

Lampion podał mu rękę i powiedział, aby starszego pana nie zdziwić, że musi sobie jeszcze kilka spraw głęboko przemyśleć, oferta jest dla niego zbyt nieoczekiwana, a poza tym decyzja nie jest możliwa, zanim on, Lampion, nie przeprowadzi listownej korespondencji z rodzicami, przecież nie jest jeszcze pełnoletni, ma dopiero osiemnaście lat.

„Nu, co mi to szkodzi? Niech pan przemyśli sprawę i napisze swoim rodzicom, najlepiej, jak pan zatelegrafuje. Cos takiego nie spotyka się przecież codziennie na drodze. I na następny piątek, niech pan przyjdzie wieczorem do mnie, na kolację, aby zobaczyć narzeczoną, i niech pan przyniesie odpowiedź od rodziców. Zgoda?!" W ten sposób Lampion otrzymał kartę wizytową, uścisk dłoni, az zabolały go palce i poszedł do domu.

Coś równie komicznego, jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Zupełnie nieznany człowiek przyszedł skądinąd starając się zostać teściem Lampiona. Nawet nie wiedział dokładniej, jak ten człowiek nazywał się. Sięgnął po wizytówkę i przeczytał: Chalim Schindler, materiały i perkale en gros & en detail, Buttermelcherstrasse 87. Komiczne, Schindler, Schindler – skąd znał to nazwisko? Stop! Hella Schindler, Hella nazywała się Schindler, niech to diabli! Helle Schindler, Buttermelherstrasse 87, naturalnie, była córką, z która miał się ożenić. Opowiadała, że była w domu jedynaczką, naturalnie, nie mogła to być inna. Komiczne, nieborak-staruszek, dumnie opowiada, że jego córka nie widziała mężczyzny i nie zna także żadnego innego, a w tym samym dniu

jeszcze całowano ją i można było, w to nie mógł wątpić żaden jasno widzący człowiek, i można było z nią pójść do łóżka, jeśli tylko się tego chciało.

Stop, to było podejrzane., halo Lampion, lisie, wpadasz we wnyki. To całe ściskanie i opuszczanie głowy było tylko trikiem, ukartowana gra, aby go złowić. Nie można było, czy matka tego zawsze nie mówiła, nie można było jego wschodnim braciom mieć odwagi przejść przez drogę, fui do diabła, Ojciec i córka leżli pod tą samą kołdrą. Chciała go doprowadzić tak daleko, aż jako przyzwoity człowiek musiałby ożenić się, a kiedy w ten sposób zostałby odcięty od rodziny, można byłoby zmniejszyć posag i postawić szantażujące warunki. Natychmiast musiał odpisać, że nie mógł sięz tymi dwoma się zobaczyć, czy było już za późno?

Nie, mimo to było rzeczą niemożliwą, że uprawiano by tutaj ukartowana grę. Na to dziewczyna zachowywała się o wiele za bardzo naturalnie. A dziś rano, zupełnie przypadkowo ją spotkał, zaledwie się poznali. I dzisiaj po południu pielgrzymowali do doliny Izary i to były same przypadki, nawet jeśli występujące bardzo rzadko. Jednak musiał wykluczyć swoje podejrzenia, myśleć tak źle u ludziach było podłe. I tak źle nie myślał już o dziewczynie z powodu swojej próżności. W każdym razie trzeba było być ostrożnym. Wymyślił fantastyczny plan, zawiesił tego wieczoru myślenie i pracę przy problemach mających zbawić świat i spał znów zdrowy i bez snów aż do poranka.

Po śniadaniu poszedł na Buttermelcherstrasse i stanął w oczekiwaniu przed domem swojej donny. Odkrył ją po krótkiej chwili w oknie czwartego pietra i przesłał spokojne pozdrowienia na góre. Hella była przypuszczalnie nad wyraz uradowana, ze tak niespodziewanie go znowu zobaczyła, cała jej twarz promieniowała i posłała mu w dół całusa, Momentalnie zniknęła. Wydawało się, że jej stary ojciec interweniował, pomyślał Lampion, niech go diabli wezmą, ale ja mam czas, mogę poczekać. brama domu rozwarła się a Hella przybiegła do niego przez chodnik.

Muszę z tobą porozmawiać. Masz teraz czas?

Tak – nie – pół godziny..

Ale ja nie chciałabym się w tej okolicy pokazywać z mężczyzną.

Dobrze chodź do mnie, mojej gospodyni nie ma teraz w domu.

Poszli szybko i po cichu, Lampion odkluczył drzwi i pozwolił jej usiąść na sofie. On sam chodził tam i z powrotem po pokoju, rozważał jeszcze swój plan, podczas gdy ona nieśmiało się rozglądała. Potem usiadł obok niej, objął ją i zapytał: kochasz mnie?

Jak ty możesz w ogóle pytać, głupi chłopaku? I rozpoczęła w obliczu krótkiego czasu, który miała do dyspozycji, huraganowy ogień pocałunków. A więc dotychczas wszystko odbywało się zupełnie na jego życzenie i z niewielkim oporem zaczął opowiadać:

Przydarzyło mi się coś komicznego. Zupełnie obcy człowiek zaprasza mnie do tego, aby poślubił jego córkę. Co mam zrobić?

Hella śmiała się z całego gardła. Czy to Monachijczyk?

Lampion pokazał jej kartę wizytową.

Hella zbladła: „To mój ojciec”

„W takim razie powiem temu panu, że niekoniecznie muszę ożenić się z dziewczyną, która bez metryki ślubnej zjawia się w moim mieszkaniu”.

Dlaczego to powiedział? W jaki sposób doszedł do tego, aby wymyślać sobie tak brzydki plan? Oto siedziała tutaj ta piękna dziewczyna, która czyniła dla niego tylko same piękne rzeczy, siedziała oniemiała wskutek szoku, jaki przeżyła po jego słowach i nawet nie była w stanie płakać. Na pewno nie wiedziała ani słowa o o planie swojego ojca. Uczynił jej niezmierną krzywdę.

Chciał się rzucić przed nią, wtulić głowę w jej łono, płakać, płakać, płakać, dlaczego ci to uczyniłem, to tylko ból, tylko moje bezgraniczne ubóstwo, które tak popycha, które nie daje mi spokoju, które mnie podburza, od szaleństwa do szaleństwa. Ale dlaczego nic nie mówiła? Dlaczego do niego nie

krzyczała, dlaczego nie uderzyła go w twarz, gdy nie miał racji! Dlaczego pozwoliła sobie to opowiedzieć?

Jeśli to nie tylko z jego strony, ale także i jego było wykalkulowaną, ukartowana grą, jeszcze raz do diabła! Grała znakomicie. Jeśli mógł tę scenę zobaczyć w teatrze, nie mógłby nad nią w nocy zasnąć, jak genialna była aktorka, nie płakała, siedziała niema, blada tak, że ta bladość prawie przenikała jej rzeczy, te oczy – człowiek, Lampion, dokąd dajesz się zagonić – wtem, wstała, powoli, stanowczo, niesamowicie, przeszły po nim dreszcze, halo, masz jeszcze sekundę czasu, rzuć się jej w drogę, odwołaj swoje słowa, są jeszcze w powietrzu, płacz, rzuć się na ziemię przed nią – nie, jak mógłby grać taka komedię – podeszła do drzwi. Położyła dłoń na klamce. Jak martwo blada dłoń to była, jeszcze nigdy nie wiedział o tym, jak blade mogą być blade, oglądał to razem z nią. Drzwi się otworzyły. Drzwi się zatrzasnęły. Słyszał jak drzwi od sieni zamykają się. Słyszał, jak trzeszczą schody. Wyszła z domu. Nie ruszył się z miejsca. Wyszła. Nie powiedział ani słowa. Lampion czuł się niezmiernie zmęczony. Zaryglował drzwi. Zamknął okno. Spuścił żaluzje. Zaciągnął zasłony. Rozebrał się. Położył się do łóżka. Natychmiast zasnął. Spał przez minuty. Zerwał się na równe nogi. Czy cos siedziało na jego kołdrze? Wyglądało jak diabełek. Komiczne. Znowu się zerwał. Cos siedziało na jego kołdrze. Wyskoczył z łóżka. Pstryknął światło. Niczego nie było na kołdrze. Kołdra była biała jak śnieg. Świeżo ubrana. Wyłączył znów światło. Położył się znowu. I nie mógł już zasnąć. Wstał. Znów podciągnął żaluzję. Na dworze świeciło słońce. Było południe. Nie chciało mu się jeść. Leżał i nadsłuchiwał. Zupełna cisza. Cisza płakała. Nie przypominał sobie, żeby usłyszał początek płaczu. Nigdy już nie przestanie. Taj jakby w świecie ktoś umarł…

Być może nie był zupełnie zdrowy. Nie mógł chorować. Choroba była brakiem woli, nie mógł zachorować. Nie mógł dać się pokonać przez jeden epizod, sprawa z Hellą było tylko epizodem, niczym więcej. Nie wolno mu było wdawać się z nią w żadna afery, tak byłoby mądrzej, jednak trzeba było

rozważyć sprawy na zimno. Jednak tak się stało i było dobrze, że tak się skończyło. Dlaczego zresztą Manila nie wydała mu się podobną do dziwki? A może jednak? Nie można w ogóle wdawać się w żadne romanse z kobietami, kobiety blokują drogę. Unikał wspomnienia o ty, czego nie oddałby jeszcze zupełnie niedawno za posiadanie kobiety. Jednak ten epizod był już odłożony i załatwiony, z odrobiną samoświadomości będzie się próbowało pójść dalej i uczynić cos dla świata.

Przede wszystkim należało być uczciwym wobec siebie. A uczciwie rzecz biorąc, powiedział sobie Lampion, jedyną możliwą rzeczą było pozostawienie dziewczyny, która chciała skaperowac kogoś w celu oszustwa. Kim innym był pobożny i zacny pan Schindler, handlował materiałami, perkalem i swoja córka. Kim innym była jednak ta córka jak nie dziwką, która jeszcze wspierała oszustwo swojego ojca. W postaci Lampiona tym ludzikom wypadł z rąk dobry interes, ucieszył się, że pokrzyżował plany tej pary, złodziejskie i złośliwe. Nie chciał mieć nic wspólnego z oszustami. Należało być uczciwym i trzeba było dotrzymywać tego, co się uczyniło, trzeba było być dzielnym i uczciwym. A więc pomiędzy dwoma duszami w jego piersi wywiązała się następująca dysputa:

Halo panie Lampion, nie ustępować! Gdzie zatrzymaliśmy się na sprawiedliwej drodze, aby zejść na boczna drogę, podjąć epizod prowadzący na manowce? Przy syjonizmie, akcji głównej i państwowej, panie Lampion. I halo, mister Lampion, niech pan nie zasypia, panie Lampion, to pan przyczynił się do poznania tego tak zwanego syjonizmu. W celu jego zgłębienia i przetłumaczenia w czyn przeczytał pan istotnie tak wiele książek i gazet, czytał pan masowo artykuły ekonomiczne, je trawił i powiedzmy wcielił je we własną krew – czy panu nie wpadło w oko nic osobliwego? Na pewno już raz odkrył pan sło socjalizm, co pan o nim myśli? Jest pan przecież uczciwym człowiekiem?

Tak, na pewno, bez pewnych socjalistycznych podstaw, nie uda się zbudować syjonistycznej Palestyny.

Tak pan sądzi, mister Lampion? Jeśli pan jednak chce rewolucji, dlaczego właśnie w Palestynie? Mówi pan, ze pogromy i znęcanie się zmuszają Żydów do migracji i poszukiwania własnego kraju, nieprawda? Dobrze, ale wie pan, panie Lampion, że naród, który nie głoduje i nie jest w biedzie, nie urządza pogromów. Panie Lampion, niech pan zlikwiduje głód i biedę, niech pan stworzy sprawiedliwe ekonomiczne warunki życia, niech pan stworzy socjalizm, wtedy wszędzie na całym świecie będzie pan mógł żyć dobrze, wtedy nie będzie pan potrzebował syjonizmu!

Dobrze, w porządku, ale ta rewolucja socjalistyczna jest utopią. Nie wiemy, kiedy nastąpi. Mieliśmy dzisiaj pogrom, musimy jeszcze dzisiaj zabezpieczyć się przeciw pogromowi, który może nastąpić jutro, musimy jeszcze dzisiaj wyemigrować.

To nie to, panie Lampion. Dokładnie tak samo spieszy się nam z socjalizmem, jak panu z emigracją. Niech pan dzisiaj wstąpi do czerwonej armii, wtedy jutro nie będzie pan musiał emigrować. Jednak jest kam komisarzem bezpieczeństwa, idiotą, a ni uczciwym człowiekiem. Ukryj pan za swoim wędrownym celem nie poprawę świata, lecz resztki swojego ojcowskiego dziedzictwa. Pan nie chce być zabezpieczony, lecz chce pan powrócić do boga pana ojców. Musi to dla pana być krajem, a nie cała ziemia. Chce pan się zemścić i upodobnić się do swoich dręczycieli, jeden naród, jedna wojna, jeden pogrom. Nie chodzi pan już do synagogi, je pan wieprzowinę, jednak chce pan wrócic do ojczyzny swoich ojców, którzy nie żyją od tysiącleci. Jest pan zmęczony, panie Lampion, pan tęskni za domem. Niech pan się pozbiera, panie i niech pan idzie dalej swoją drogą, jeśli jest pan uczciwym człowiekiem.

Prowadząc takie monologi Lampion został socjalistą.

Czuł się teraz bardziej wolny, awansował, coś przezwyciężył. Niekiedy żałował, że nie był gatunkiem węża; wypchałby sobie w przeciwnym razie na pamiątkę zrzuconą skórę i powiesił ja nad łóżkiem.

Z satysfakcją i czasem wolny, na co pozwalały mu przysyłane punktualne comiesięczne weksle jego ojca, Lampion rzucił się teraz w wir socjalistycznych problemów. Z miną fachowca sprawdzał teraz obliczenia i statystyki, liczył potem i przedtem i czuł się w świecie ekonomii jak w domu.

Z największą przyjemnością urządzał sobie w swoich myślach, do pewnego stopnia jako przerywnik i część artystyczną rodzaj politycznego teatru. Pozwalał występować na scenie przywódcom walczących ze sobą partii jako aktorrom i znajdował w tych dysputach wesołą rozrywkę wykorzystującą zmianę jego poglądów.

Przedstawił się Theodorowi Herzelowi i nigdy nie zapominał użycia wobec niego atrybutu „pan". Ale w myślach zaczął przed nim trzymać czerwoną chustę, aby go rozwścieczyć, Ah, panie nieboszczyku, pnie zmarły, panie trupie – „Nazywam się doktor Herzel," kazał mu odpowiadać karcącym basem.

Tak, w porządku, sądzę, ze kiedyś słyszałem, że jest pan założycielem – tak zwanego syjonizmu? Niech pan mi pozwoli, że przedstawię panu pana przeciwnika, przeciwnika a priori, pana Karola Marksa, wspaniałego człowieka, mówię panu.

W swoich wyobrażeniach lampion był czarnoksiężnikiem. Nie tylko, że kazał występować zmarłym, tak jakby byli aktorami, nie on sam, razem grał w scenach ze zmarłymi, sam grał główną rolę głównego zmarłego, grał Karola Marxa.

Żadna rola nie była w stanie spodobać mu się bardziej niż właśnie ta. Lampion widział w Karolu Marksie wysokiego, nad wyraz barczystego i pozornie bardzo szalonego fizycznego człowieka i jako wybitny, nadzwyczajnie szeroki oraz aż do matematycznej ostateczności ostry i konsekwentny umysł, ogólnie widział w nim równego gościa. Musiał pogardzać arystokratycznym, brodatym doktorem Herzlem z całej swej duszy, i jego odgrywany przez siebie samego teatr brzmiał wtedy tak:

Panie dotorze Herzel, słyszę, że chce pan w jakimś kraiku gdzieś daleko - zorganizować staro-nowy kraj?

Dziękuję za łaskawe pytanie, panie Marks, iloma tysiącami dolarów rocznie może moja kasa szeklowa obciążyć pana konto?

Nie potrzebuje pan wcale, nie po to oprowadziłem moje dziecko do śmierci głodowej, aby panu fundować drzewa eukaliptusowe. Gratuluje panu republiki spekulantów.

Niech pan pozwoli, panie, miałem audiencję u niemieckiego cesarza, która –

Na nic nie pozwalam. Bardzo żałuję, że oddałem rekę takiemu indywiduum, które miało audiencję u niemieckiego cesarz. Może pan być - pomijając kila błędów rachunkowych i myślowych być zupełnie zdrowym obywatelem. Gdzie tu jest najbliższa okazja do umycia?-

Lampion bawił się wyśmienicie, nawet jeśli wkrótce nie uważał takich dysput o syjonizmie za niezbędne, ale były milą rozrywką pomiędzy statystykami, liczbami i obcymi słowami, które się nie zawsze pojmowało. Uporał się z syjonizmem, przy pomocy nagiego faktu materialistycznego pojmowania historii w swojej opinii udusił go, dziwił się i kręcił nosem, gdy przypominał sobie, ze istnieli jeszcze syjoniści. Był takim wybitnym mózgiem, że wyprzedzał wielu starszych i bardziej doświadczonych?

Udało mu się, zdemaskować ruch syjonistyczny jako to, czym w istocie był, jako religię i reakcję, ukrywającą się za maską pomocy i poprawy świata. Dumnie skonstatował Lampion na podstawie annałów ruchów rewolucyjnych, ze krytyka religii była fundamentem socjalizmu. Gdy już można było uwolnić się od wiary, od wiary w Boga, to socjalizm był konsekwentnym następnym krokiem. Jeśli jedyną tradycyjną opinię uznało się za przesąd, „intuicję” za szwindel, to analogiczny wniosek w stosunku do wszelkich zebranych tradycji i intuicji był oczywisty. W miejsce bezkrytycznego przejęcia pojęć i wiary

należało wstawić rozumowe sprawdzenie prawie fizycznych , czyli marksizm. Było to murowane, przekonanie to stało niczym skała.

Jednak Lampion spotykał się z takim zjawiskiem, że im bardziej czytając zagłębiał się w socjalistyczne teorematy, aby opanować całą dziedzinę i wyczerpać i aby wykonać praktyczna pracę w tym przekonaniu, że ze tym bardziej popadł w zamęt i że w stosach suchych wariantów teorii Marksa mógł się odnaleźć tylko z ledwością. Gdy twierdzenia jakiegoś epigona odbiegały znacząco od odpowiednich twierdzeń Marksa, które Lampion właśnie uważał za dowiedzione, to w obliczu przekonującego matematycznego opisu przeciwnego dowodu, musiał przyznać racje temu, co przeczytał. I czy nie trzeba było być dzielnym i dostatecznie uczciwym, aby móc poprawić mistrza w niezbędnym przypadku? Jednakże kunsztownie uporządkowany system popadał w nieład i było się niepewnym i w złym humorze. Jednak nie można było się wymigiwać od tego.

W tym niebezpiecznym dla niego czasie wpadły mu w ręce książki Gustawa Landauera, zdjęcia tego człowieka i notatki dotyczące jego życia. Lampion czytał jego książki z rosnącą nieufnością. Ten Gustaw chciał załatwić świętego Karola Marxa? Komiczne i osobliwe. Landauer musiał dziwnie wyglądać, Człowiek olbrzymiego wzrostu i taka wąska, długa, czarna broda, wysokie okrągłe czoło, dla niego, Lampiona, mało sympatyczne. Ale ten nieżyjący człowiek był, jak by nie było, dziwny, należało go w dalszym ciągu badać, choćby po to, aby go odrzucić.

Także i ten człowiek był Żydem. Dziwne, że wszyscy zmarli, z którymi Lampion miał do czynienia, byli Żydami, tak jak on. Tylko Manila, jedyna, żyjąca, utracona, była – Germanią. Być może Lampion kochał ją tylko dlatego, że właśnie ona posiadała wszystkie właściwości, których brakowało jemu i jego zmarłym, książkom i całej tej kupie niepotrzebnych rzeczy. Gdy się było samemu Żydem, można było nad tym wszystkim stać się antysemitą. Ten naród był tak podburzany, wewnętrznie i sam przez siebie, niespokojnie mądry, nad

uczuciowy. W tym narodzie już dzieci czytały tak wiele, że operatywność ich umysłów wymagała okularów i binokli. Ten Gustaw Landauer był na pewno także takim superduchem, Lampion sam już niemal wstręt do częstej lektury i nauki, jednak należało wytrwać.

Lampion przeczytał powieść młodego Landauera i z oburzeniem stwierdził, że to nie powieść, lecz bękart, cos pomiędzy Kellerem, a Nietzschem. Jednak poza tym, i to sprawiło, że zbladł, występował tam protagonista w postaci konstruktu tzw. „kaznodziei śmierci", wygłaszającego kazania o konieczności ogólnego samobójstwa. Czy Lampion w swoim chorym szaleństwie, związanym z utraconą Manilą, nie uczynił czegoś podobnego na oczach „polskiego wiecu" od czasu, gdy wiedział, że „kaznodzieja śmierci" już przed trzydziestoma laty był kaznodzieją śmierci, nienawidził Landauera jak dżumy. Tylko śmierć chroni mnie przed zabiciem ciebie! Krzyczał do nieba.

Jak mogło być możliwe, że występowały takie podwójne wizje! Życie zaczynało być niezmiernie śmieszne. Czegoż to właściwie należało się trzymać? Lampion po raz pierwszy w życiu odmówił sobie jedzenia, aby zapłacić za wszystkie egzemplarze „Kaznodziei śmierci", które przyniósł z księgarń. Strona po stronie darł książki na małe strzępy, które palił.

Powoli pokonał kryzysy lękowe. Z tym większym gniewem rzucił się na socjalistyczne tezy Landauera, doprowadzę cię do nokautu, powiedział sobie, poczekaj tylko. Jednak nie uwolnił się od tych książek. I potem, jak zainscenizował sobie zawsze dla rozrywki sztukę teatralną o wielkich umysłach, ukazał mu się duch tego człowieka, chociaż go nie wywoływał.

Ty błaźnie Lampionie, powiedział duch, jak mogłeś wpaść na tego profesora, na ten chodzący paragraf. Świat jest tak daleko a życie jest tak wielkie, trzeba je przeżyć a nie kalkulować. Spełnij tylko swoją wymyślona funkcję i zobacz, jaka będzie przyszłość twojego ideału w rzeczywistości: państwo składające się z samych urzędników i ludzi z papierami i żadnej radości i ochoty. Ale ono wcale nie nadejdzie. Czy zauważyłeś we wszystkich

statystykach, że twój profesor pomylił się w swoich prognozach? Czy jeszcze nigdy nie czułeś, że wróg, przeciwko któremu sadzicie walczyć, nie poza wami i istotami, a taksi w was i robi z was durnia? Jeśli chcesz poprawić świat, popraw najpierw siebie samego.

Przeciwko temu było niewiele argumentów. Lub, czy jego własny twór, na który stracił całą noc, chciał go wystrychnąć na dudka i zapędzić w kozi róg.? . Hej, ty, dalej już nie możesz: ja Lampion, nienawidzę ciebie, jesteś jedynie zmarłym, trupem, szkieletem, pokarmem dla robaków, cuchnącą padliną, precz z tobą, idź, już cię nie potrzebuję, jestem zmęczony, chcę spać!

Myślałem, mister Lampion, ze jesteś dzielnym i uczciwym człowiekiem, przepraszam, że przeszkadzam. Nie szukałem pana, nie szukam, czekam. Kto tęskni i jest strapiony i nie może tak dalej i chce wszystkiego lub niczego, na tego się oczekuje i tego się wzywa. Przepraszam.

Jeszcze raz, panie duchu, za nim na zawsze odstąpi ode mnie, poproszę pana na chwilkę. Jeśli pan pozwoli, nawet gdyby to pana miało uśmiercić, że panu powiem, ze jest pan szczurołapem i Don Kiszotem. Twierdzi pan, że pan walczy i jest wzburzony, tymczasem jest pan jedynie mówcą pięknych słów i jestem zmuszony pośmiać się z pana, nie ma pan żadnego wroga, nie ma pan ruchu, święta wojna do niczego nie prowadzi. Ma pan tylko urojenia i jest pan utopistą.

Naraz zaczęły mówić ściany, mówić rzeczy, mówił deszcz w oddali wszystko mówiło o skrytykowanej sprawie. Wróg jest wielki. Wróg jest wszędzie Ty głupcze masz racje, tylko – odnajdź się w swoim prawie,: wszystko jest niczym, nic jest wszystkim. Nigdy nie pozostawiaj wroga z liczbami. Opanuj się. w sobie jeszcze za bardzo jesteś[i]s dla siebie wrogiem.

Lampion nie był taki jak zwykle, gdy rozmawiał z duchem. Normalnie wyobrażał sobie ducha bardzo osobowo i fizycznie, zawsze uważał, że jeśli drugiemu, który także był figurą wymyślona przez niego, zbyt złośliwe, wyszlifowane słowo wymsknie się, że tego drugiego ducha, urazi, obrazi, będzie

mógł go odstawić, w najbardziej niebezpiecznym przypadku przepędzić. Tym razem było zupełnie inaczej. Duch był rzeczywiście, stworzony przez niego samego i nie był fikcja Lampiona. A jednak nie taki jak zjawa, lecz zupełnie bez obrazu, zupełnie duchowy. Rzeczywiście rzeczy w pokoju i ściany i deszcz na zewnątrz musiały być obcymi i oddzielonymi od niego obrazami, które tak do niego mówiły, że drżał;

Wróg w tobie jest na obraz i podobieństwo Boga poza tobą. Ty sam jesteś wszystkim, przeciwko czemu miała być skierowana walka, jeśli chcesz zostać socjalistą. Ty sam jesteś klechą, tyranem, panem pieniędzy i towarzyszem pieniędzy, jesteś tchórzostwem i gnuśnością, głupotą i wygodnictwem tradycji, rachmistrzem i adwokatem, dyplomata i profesorem. Ty sam tworzysz front jedności przeciwko sobie i jesteś swoim dawniejszym wrogiem. Ty sam, ty uczciwy człowieku, jesteś równocześnie swoim surogatem i swoja karykaturą. Ty nie jesteś duchem, duch ogarnięciem całości w żywej ogólności, czas jest połączeniem rozdzielonego, rzeczy, pojęć oraz ludzi: duch byłby podczas twojego entuzjazmu wskutek przejścia na druga stronę, żerem, odwagą, walką, czynem i budowaniem. Jesteś sceptykiem i tchórzem i rachmistrzem. Jesteś materialista, twoje ciało jest tym, kto buduje swojego ducha, tak samo jak jest ono mu niezbędne do wymówek.

To wszystko było zupełnie na zewnątrz, wdzierało się w Lampiona, nie mógł się uratować, czuł, że dusi się, ryczał niczym pod wpływem szantażu do drugiego: chcę podążać za tobą, chcę podążać za tobą!

Wszystko minęło. Sama Manila czuła się Lampionem. Obawiał się tej samotności. Miał strach przed sobą, przed ścianami. Wybiegł na ulice. Pobiegł w górę i w dół ulicy. Pod parasolem ostrożnie dreptało cos wzdłuż domów „skarbie, pójdziesz ze mną?” Jeszcze nigdy Lampion nie był u takiej kobiety.

Szedł przez przecznice, ponure, których jeszcze nigdy nie widział. Przez ciemne podwórze.. Zatrzasnęły się drzwi. Po schodach z przodu dziewczyna z latarką, otwarła zamek. Zatrzasnęły się drzwi. Dziewczyna zapaliła lampę

naftowa. Musiał płacić. Dopłacić. Poczęstować papierosami. Potem wszystko odbyło się krótko, krotki interes. Mógł wyjść. Nie miał nawet niewielkiej ochoty.

Przypomniała mu się Manila. Otrząsnął się, podobnie jak kundel otrząsa się z pcheł lub błota. Znów wszystko zapomniał. Ciągle jeszcze padało. Czy nie zaziębił się? Zgniłby mu nos. Był zmęczony. Nogi maszerowały mechanicznie przez deszcz. Coraz dalej.

Wydawało się, ze po drugiej stronie ulice przechodzi człowiek. Bardzo wysoki człowiek. Z długa peleryną. Z czarna broda. Padało przez całą noc. Nigdy jeszcze nie widział tak wysokiego mężczyzny.

Doszedł do końca miasta Chodził do końca nocy. Nie chodził do końca deszczu. Zmierzch wypełzł z horyzontów. Wiatr pomykał po katach. Olbrzymi mur wszystko ogradzał.

Lampion usiadł na mokrej ziemi. Przy murze. Krok za krokiem, jak twardy zegar wybijający godzinę, kroczyły dwa posterunki. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Za murem wystawało wiezienie.

Ze zmroku wychynął wysoki mężczyzna w pelerynie. Posterunki zaprezentowały bron. Krok przez mur. Lampion mógł wszystko zobaczyć. Czy także wokół niego wyrósł mur?

Nagle cała horda żołnierzy pojawiła się wokół wysokiego mężczyzny. Nikt nie dorównywał wzrostem wysokiemu mężczyźnie. Czy to wszystko Lampionowi się przyśniło?

Kolbami karabinów uderzali wysokiego mężczyznę. Ich usta były skrzywione, tak jakby wykrzykiwali przeciwko mężczyźnie ordynarne słowa. Jednak Lampion niczego nie słyszał. Działo się to wszystko w jakiejś koszmarnej ciszy - czy był to tylko sen?

Do grupy żołnierzy przystąpił oficer. Wysoki mężczyzna chciał cos powiedzieć. Oficer uderzył go pejczem do jazdy konnej w twarz. Żołnierze rozciągnęli usta w szerokim uśmiechu. Kolby uderzyły z góry na niego.

Mężczyzna upadł. Oficer wykrzykiwał: „Ta kanalia jeszcze żyje” Krzyczał śmiejąc się ochryple i rycząc. Był to jedyny dźwięk, który Lampion usłyszał. Być może nie było to jednak snem.

Czy miał podskoczyć i pomóc mężczyźnie? Czy dać się zamordować? Czy miał uciekać? Lampion nie podniósł się. W niewytłumaczalnym uczuciu. Być może był to tylko sen. Sierzant obrócił kolbę. Wycelował. Strzelił. Lampion podskoczył. Nie, nie trafił go. Lampion nie był ranny.

Żołnierze potruchtali dalej przez podwórze. Lampion zatrzymał się przy murze. Wyraźnie czuł, że opiera się o mur. Powoli zaczęło znów padać. Podwórze było zupełnie puste.

Tylko ciało leżało w środku. Twarz zalana krwią. Deszcz kapał na podwórze. Nie było widać żadnego człowieka, tylko ciało zabitego. Nagle na podwórze zakradł się sierżant. Był to ten sam, który strzelał. Podszedł do trupa. Szybko odciągnął pelerynę. Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki. Nie wyszedł od razu. Wyrwał go. Zegarek wypadł.

Lampion chodził znów po ulicach. Znów padał deszcz. Był dzień. Trzeba było coś zrobić. Tym mężczyzną, którego zamordowali na dziedzińcu więzienia w Stadelheim pod Monachium, był Gustav Landauer. Należało coś zrobić. Wyraźnie było to widać, żyło się życiem zbrodniarzy. Trzeba to było zmienić.

Lampion napisał do swojego ojca, że już nie potrzebuje pieniędzy. Z przekonania i po wpływem własnych przeżyć czuje się zmuszony zostać rewolucjonistą. Ich drogi rozeszły się, musiały się rozejść. Gdy on Lampion, zemści się za ludzką niesprawiedliwość i stworzy coś sprawiedliwego i uczciwego, da znowu o sobie znać.

Za ostatnie swoje pieniądze Lampion wyjechał do Berlina. Trzeba było być w centrum kraju, aby być w stanie działać. Co będzie robił? Po pierwszej nocy jeszcze tego nie wiedział.

Drugą noc spędził w schronisku dla bezdomnych. Przez trzy dni niczego nie jadł. Ale nie można było nic zrobić bez jedzenia. Być może życie było po

to, aby jeść? Być może duchowe problemy były tylko środkiem na trawienie dla sytych darmozjadów? Własny głód był bardziej intrygujący niż to, że zamordowano wysokiego człowieka w pelerynie. Przed dwoma tysiącami lat ukatrupiono nawet Chrystusa. Czasy nie zmieniały się. Nie można było nic na to zrobić. Trzeba było być uczciwym wobec siebie. W burczeniu żołądka Lampion odkrył swoją ostatnią uczciwość. Trzeba było postarać się o pieniądze. Przecież nie można było umrzeć z głodu. Pieniądze, pieniadze1 Chciało mu się jeść. Trzeba było pojechać do armii zbawienia.

Lampion wsiadł do tramwaju. Dał konduktorowi swoją ostatnią monetę pięcdziesięciofenigówkę, wcisnął bilet do kieszeni i mógł jeszcze odebrać resztę ze swojej pięćdziesięciofenigowki. Konduktor wypłacił mu na rękę: „dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, jedna marka, dwie marki, pięć marek, proszę bardzo!" Lampion nie skomentował tego nieprawidłowego zysku ani słowem, pomyślał tylko, że zje sobie niespodziewanie dobry obiad i wysiadł na następnym przystanku.

Lampion poszedł do dobrej mieszczańskiej restauracji, zjadł sznycla i wypił ciemne piwo. Kelner pomógł mu ubrać płaszcz i policzył mu: „Piwo ciemne – trzydzieści, sznycel – jeden osiemdziesiąt, bulka – dwie marki." Lampion położył swoją monetą trzymarkową na stole, kelner wyciągnął jedną markę z kieszeni, powiedział „chwila", znikł, pobiegł do bufetu, wrócił, postawił na stoliku obok jasne piwo przed gościem, wyciągnął swój portfel „Daję panu dwie marki, to jest pięć marek, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt, sto marek, dziękuję bardzo, niech pan jeszcze przeliczy!"

Lampion usiadł w kapeluszu i płaszczu jeszcze raz przy stoliku. Czy to były czary, czy – szczęście? Czy było możliwe, że oszukał tego nieboraka kelnera – jak długo będzie potrzebował, aby tę stratę zrekompensować?

Lub, do diabła, być może konduktor przeliczył się, czy jego oszustwo na konduktorze już zdemaskowano? Lampion postanowił czekać, aż kelner trzy razy przejdzie przed jego stolikiem, pozostawił jeszcze pieniądze, kelner

przeszedł obok, czekał, kelner przeszedł drugi raz, czekał, nieufnie rozglądał się za innymi gośćmi, nie żaden nowy, widział to dokładnie, nie wszedł za nim. Kelner przeszedł trzeci raz obok. Lampion schował pieniądze i zamknął za sobą drzwi. To było szczęście, nie, to był los.

Lampion zamówił auto i kazał się zawieźć do kasyna. Postawił jeden talar i przegrał. Postawił pięć marek i wygrał trzydzieści Postawił dziesięć marek i wygrał sto. Rozbił bank i po pięciu godzinach miał wszystkie kieszenie wypchane wielkimi banknotami.

Lampion szalał w tej nocy w najbardziej niebezpiecznych kasynach miasta. Nie obawiał się przegranej i wygrywał coraz więcej. I zapominał o strachu, ze ktoś mógł ujrzeć jego niesprawiedliwy początek i nic mu się nie stało, wygrywał i wygrywał, a ludzie oglądali go jak meteor, który spadł z nieba, aby spalić ziemie. Niespokojnie wędrował od klubu do klubu, wypychał cały czas swoje kieszenie banknotami, zmieniał je na większe i wygrywał, wygrywał.

Gdy już nastał dzień, kazał się zawieźć do hotelu, wziął zimną kąpiel i położył się, odświeżony i zmęczony do łóżka Przemyślał jeszcze raz swoją „karierę" i powiedział sobie;

Tak, trzeba już być uczciwym z samym sobą. Opłaca się to także. Jutro możemy zacząć zarabiać pieniądze. Bez pieniędzy nie można przecież niczego rozpocząć. Utopiami, ideałami i teoriami nie można się najeść. Głód jest wprawdzie najlepszym kucharzem, jednak trzeba także mieć coś do zjedzenia, a im lepiej się zje, tym bardziej dba się o siebie. Im więcej czyni się dla siebie, tym więcej czyni się dla ludzkości. Trzeba było być uczciwym wobec siebie i pójść własną drogą. Szczęście to los. I z uśmiechem zasnął.

*

Pod hotelem, w którym Lampion mieszkał, o tej porze, Manila jechała podziemną kolejką do pracy. Na następnym przystanku wszedł do jej przedziału

jakiś pan i uśmiechnął się, jak ją zobaczył, tak, jakby mimowolnie oczekiwał, że tu ją spotka.

Pan zdjął kapelusz z głowy i usiadł koło niej. Manila obserwował go zdumiona.

„Jestem pewien i pochlebia mi, że rozpoznała mnie pani," powiedział, „chociaż już minęło dużo czasu, od momentu w którym się spotkaliśmy, a mimo to zna mnie pani jedynie z nieco dziwnej podróży samochodowej przez polską granice. Nie uwierzy pani, jak jestem uradowany, że mogę panią znów ujrzeć. Mam jeszcze do spełnienia wobec pani słowo, które pani dałem i jestem zadowolony, że mogę to zrobić dzisiaj. Czy chce pani dzisiaj rzeczywiście zjeść kolację z prezydentem policji?"

„?"

„Zostałem w międzyczasie szefem policji kryminalnej w Monachium i w ten sposób próbuję wśród moich byłych kompanów zapobiec i zrekompensować wszystkie przestępstwa, które wyrządziłem ludzkości. Zresztą widziałem panią kiedyś w Poznaniu, ale unikałem zobaczenia mnie przez panią, ponieważ jeszcze wtedy było niebezpiecznie rozmawiać ze mną i ponieważ, otwarcie to wyznam, była pani jedynym człowiekiem, którego się wstydziłem. Szła pani wtedy z niskim, młodym mężczyzną, którego potem obserwowałem w Monachium".

„To on żyje!?"

„Naturalnie, ludzie tego pokroju żyją zawsze. Dlaczego pani pyta?"

„Ja – on – to wspomnienie nie jest dla mnie przyjemne."

„Był to zupełnie nieszkodliwy, niski żydowski chłopak. Najpierw uważałem go nawet za niebezpiecznego; miał takie fanatyczne oczy i biegał stale do wszystkich możliwych stowarzyszeń i na zebrania radykałów. Często słyszałem także jak przemawiał, ale dla mnie przemawiał w sposób zbyt biegły i był oczytany. Sądzę, że jest zupełnie nieszkodliwy, Niech mnie pan nie uważa, proszę, za antysemitę, jeśli pani powiem, że brzydzę się tymi przedstawicielami

Hebrajczyków. Gdy są młodzi i nie mają nic lepszego do roboty, są rewolucjonistami. Nie opuszczają żadnego zebrania, traktują je nawet jako tako poważnie i mają też, powiedzmy sobie, ideały. Skoro tylko potem jednak muszą i mogą zarabiać pieniądze, czynią to z podobnym entuzjazmem, i okazuje się, że przez nich tak mocno niegdyś zwalczany kapitalizm nie był niczym innym jak pieniędzmi innych. Tych rewolucyjnych ideałów, które są zjawiskiem z okresu dojrzewania, nie cenię za bardzo. Tym samy jednak w żadnej mierze nie wykluczam, że właśnie wśród Żydów istnieją prawdziwi i ideowi rewolucjoniści. Ale oni pozostają takimi wiecznie, w cywilnych zawodach są naukowcami, filozofami, artystami a ja uważam ich za tak znaczących i nieodzownych dla nas, że nie chciałbym jeszcze w mniejszym stopniu niż naszych własnych znakomitości, aby ich brakowało. Ale w tym miejscu wciągam panią w moje myśli, które być może i mam nadzieję interesują panią znacznie mniej niż to, z jakiego powodu już panią tutaj wszędzie szukam. Niech pani nie będzie na mnie zła, jeśli panią do tego stopnia zaskoczę, ale jest dla mnie rzeczą niemożliwą, abym zapraszał panią na sentymentalne spotkania i przedmowy – czy chce pani zostać moją żoną?”

Po małej przerwie, Manila powiedziała powoli i cicho: „Pana osoba nadzwyczajnie mi pasuje, ale jednak poproszę pana o małą zwłokę, zanim panu odpowiem”.